DZWON.

W dzień świąteczny, uroczysty, bije wielki dzwon,
Budzi w sercach zapał czysty, pragnień wiele on,
Budzi w duszach myśli szczytne, wzniosły stwarza czyn —
Ku wyżynom wiedzie chwały, ku zagładzie win.

Gdy uderzy serce z stali w dzwonu tego śpiż,
Myśl promienna się zapali jak ognisty krzyż;
Myśl gromowa w sercach wszystkich dźwięczny budzi ton,
Gdy kołysze się i huczy ten olbrzymi dzwon...

I po całym kraju bieży ta radosna wieść,
I we wszystkich piersiach szerzy ideałów cześć,
I rozbrzmiewa w każdem sercu jak echowa pieśń,
I otrząsa samolubstwa i gnuśności pleśń.

Lecz nie każda dzwon ten może rozkołysać dłoń:
Trzeba wielkiej siły ducha, by przystąpić doń,
A czystego serca trzeba, by mu wydrzeć głos —
I mężnego i czujnego na swych braci los...

Czasem wiele lat upłynie nim uderzy dzwon,
I dziejową niwę kryje zgrzybiałości szron;
Myśl daremnie się wysila, aby wydać czyn:
Nikt nie waży się poruszyć ciężkich dzwonu lin.

Stygnie wtedy każde serce, gaśnie zapał w niem;
Myśl drętwieje, wola krzepnie, duch śpi ciężkim snem,
Lepszych uczuć zdrój wysycha, wschodzi zbrodni siew
I musują pianą męty i kotłuje krew...

Lecz gdy myśl w polocie orlim skrzydłem trąci śpiż,
Zagrzmią jego dźwięczne tony i popłyną wzwyż —
Wtedy łowi je spragniony, czujny ludzki słuch
I w harmonią wielką splata — w pieśń budzącą duch.

Dalej bracia! złączmy siły i uderzmy w dzwon:
Może zabrzmi dla nas jeszcze uroczysty ton;
Wyciągnijmy wszystkie dłonie do tych grubych lin —
Może jeszcze nam wydzwonią jakiś wielki czyn!

D.

DROGI POSTĘPU.

Dwie są zasady, które leżą u podstawy wszelkiej organizacyi społecznej: zasada *wolności* i zasada *braterstwa.*

Pierwsza dąży do wyzwolenia jednostki z wszelkich więzów niepotrzebnych; do zerwania wszelkich oplątających ją zobowiązań, których bezzasadność wykaże badanie poważne i bezstronne. Jest ona niejako siłą odpychającą w społeczeństwie, czynnikiem osłabiającym łączność jednostki z ogółem.

Zasada braterstwa jest przeciwnie siłą przyciągającą, czynnikiem utrzymującym łączność, cementem wiążącym jednostki w całość.

Zasada braterstwa nazwą swą wskazuje na wzór, według którego wyobrażamy ją sobie: wzorem tym jest rodzina, ów najmniejszy a zarazem najdokładniejszy pierwowzór wszelkiego uspołecznienia. Jeśli zastanowimy się nad tą najprostszą formą uspołecznienia, jeśli poddamy analizie, mianowicie to, co cechuje sto-
…unek braterski, łatwo dostrzeżemy, że dwie cechy określają go: …*ność* i *wspólność*. Słabszy czy silniejszy, zdolniejszy czy upośle-…ny, młodszy czy starszy — każdy z członków rodziny ma … wartość w oczach pozostałych, jako jednostka do niej na-… A wszystko, co stanowi własność materyalną lub moralną …y: jej dorobek i jej honor, zaszczyt lub hańba, spadające na …gokolwiekbądź z jej członków, stanowią rzecz wspólną; każda …e członka jej spada na wszystkich, każdy smutek odczuwa …zez wszystkich.

…la nadania społeczeństwu trwałości potrzebna jest pewna …aga pomiędzy siłami przyciągania a odpychania, pewna

synteza zasad wolności i braterstwa, bez której byt społeczeństwa staje się nietrwałym. Wszakże typy społeczeństw z przewagą idei braterstwa, typy społeczeństw zbudowanych na wzór rodziny znamy tylko w okresach przedhistorycznych (np. gmina staro-indyjska), lub jako częściowe objawy, ukryte u podwalin szerszych organizacyj (zadruga serbska). Wojny i zabory nieustannie w pierwszych fazach rozwoju społecznego powodują skupianie się mniejszych gromad w większe, odbywające się drogą przymusu. Pojedyncze gromadki nie spajają się w całość organiczną wewnętrzną siłą atrakcyi, lecz zostają skute i ściśnione zewnętrzną obręczą, trzymającą je razem. Obręcz ta niebawem staje się jedyną spójnią całości, niweczącą zarówno wolność jednostek jak i więzy braterstwa czyli wewnętrzną siłę spójności społecznej, które wydają się zbytecznemi wobec ściskającego wszystko wiązadła zewnętrznego. W ten sposób wytwarza się typ państw despotycznych wschodu starożytnego.

Wojny i zabory wspólne są pierwotnym stadyom wszystkich społeczeństw. Więc i tam nawet, gdzie nie doprowadzają do wytworzenia olbrzymich skupień pod władzą despotyczną, powodują organizacye typu wojskowego, oparte na przymusie zewnętrznym. Dlatego też pierwsze fazy rozwoju ku podniesieniu i uszlachetnieniu pożycia ludzkiego, jakie zastajemy w dziejach, przedstawiają się już jako walki o wyzwolone jednostki z pod ucisku zewnętrznego. Takie dążenie ku wyzwoleniu jednostki nazywa się wogóle *indywidualizmem.*

Indywidualizm prowadzi do zerwania ucisku zewnętrznego i w tem leży jego dobra strona, jego zasługa w dziejach emancypacyi człowieka. Ale ponieważ społeczeństwa, które trzymały się tylko zewnętrzną obręczą przymusu, nie zdążyły rozwinąć odpowiednich zasad spójności, płynących z idei braterstwa, któreby przeciwdziałały rozprzęgającej sile indywidualizmu, a nawet te zawiązki, jakie pierwotnie istniały, uległy zanikowi, przeto try indywidualizmu rychło prowadzi do rozprzężenia i upadk czeństwa. Daje się to widzieć w państwach greckich i w R

Wyzwolenie jednostki w Grecyi odbywa się rów z rozwojem myśli filozoficznej, a szczytowym punktem k wego indywidualizmu jest epoka sofistów. Nauka, że «cz jest miarą rzeczy», stosowała się zarówno do poznania, ja zasad uspołecznienia, a «człowiek» w tym orzeczeniu pojm był nie ogólnie, lecz indywidualnie. Wszystko w ten spos

praszało się w dowolność kaprysu: nie było ani poznania ogólnego — bo co dla jednego było prawdą, dla drugiego może być fałszem; ani piękna — bo jednemu podoba się to, drugiemu owo; ani żadnych przepisów ogólnych etyki lub prawa — bo każdy mógł być twórcą własnej etyki i prawodawcą swoim, nie oglądając się na innych.

Konsekwencye społecznie-polityczne z tej zasady Protagorasa snuli Hypias, Trazymachos, a zwłaszcza Pollus. Uczył on, że prawa państwa sprzeczne są z prawami natury. Według prawa natury, człowiek silniejszy lub zdolniejszy, rozwija swoje zdolności i owładnąć może wszystkiemi przedmiotami użytku na swoję korzyść, przezwyciężając opór słabszych. Nie potrzebuje tłumić swoich namiętności ani apetytów: im więcej ich ma, tem lepiej dla niego, bo siła daje mu możność zadośćuczynienia im. Słabsi muszą mu się poddać. Taka jest sprawiedliwość w stanie natury. Lecz w społeczeństwie wszystko jest odwrócone. Większość wie, że należy do słabszych, i że jedyne zabezpieczenie ich dobrobytu polega na ustanowieniu praw i opinii, powściągających silnych. Biorą go więc za młodu, gdy umysł jego wrażliwy, i tresują, jak młode lwiątko; zapomocą nauki i wychowania wpajają mu zasady równości i umiarkowania. Taką więc jest sprawiedliwość społeczna: środek przeciwny naturze, która daje silnemu bezgraniczne prawo użycia. Lecz przy lada sposobności silny zrzuci te pęta, przełamie czarodziejskie koło opinii i zajmie to stanowisko władcy i pana, jakie mu natura przepisywała.

Taki jest wyraz dążności krańcowego indywidualizmu. Nie należy sądzić, iżby sofizmata te powstały w społeczeństwie nawskróś równościowem, jako protest przeciwko niwelacyi, jako aspiracye ku porządkowi społecznemu opartemu na hierarchii. Podobnie, jak dzisiejsze ich powtórzenia, są one tylko apologią rzeczywistości, próbą teoretycznego uzasadnienia istniejącej już nierówności, a zarazem usunięcia przeszkód ku dalszemu jej postępowi. W społeczeństwie greckiem bowiem, po wojnach perskich, wytworzyły się wielkie nierówności w uposażeniu; powstała klasa bogatych obywateli, a sofiści, pierwsi płatni nauczyciele złotej młodzieży [1]), wytwarzali teorye odźwierciedlające aspiracye i apetyty owej zamożnej klasy.

---

[1]) Przed nimi filozofowie nigdy nie pobierali płacy za naukę; podobnież postępowali później Sokrates i Platon, który piętnuje chciwość sofistów.

Z tego zamętu grożącego rozprzężeniem oświacie i społeczności greckiej, a pośrednio także cywilizacyi europejskiej, ocala ludzkość Sokrates, znamionujący nowy okres w rozwoju myśli starożytnej, okres znajdujący swój wyraz ostateczny i punkt szczytowy w nauce Chrystusa. Sokrates ratuje umysł z tej bezgranicznej chwiejności, z tego zapadnięcia się wszystkich punktów oparcia, zarówno w poznaniu, jak i w zakresie czynu, które było następstwem twierdzenia, że «człowiek jest miarą rzeczy», a ratuje go, nadając twierdzeniu temu znaczenie powszechne. Zamiast człowieka indywidualnego, podstawia *człowieka wogóle*, przyjmując przez to *równość wszystkich ludzi wobec wartości życiowych:* wobec prawdy i cnoty. Prawdą dla mnie i dla każdego jest to, co prawdą dla wszystkich; dobrem to — co dobrem dla wszystkich. W tej formie filozoficznej ukazała się po raz pierwszy w dziejach ludzkości idea równości obywatelskiej, idea, która wszakże odniosła zwycięstwo nad światem dopiero wtedy, gdy przez Chrystusa ogłoszona została w formie religijnej, jako *równość wobec Boga*. Nie powinniśmy się więc dziwić, że Sokratesa na równi z Chrystusem skazano na śmierć i to pod oskarżeniem zbliżonem, a mianowicie, że jest bezbożny i psuje młodzież.

Stulecia upłynęły wszakże zanim myśl Sokratesa wydała owoce na polu społecznem. Kiełkować poczęła dopiero w nauce stoików. Tymczasem Plato, uczeń jego, zrozumiał, że indywidualizm prowadzi do zguby państwa greckie, a do rozkładu cywilizacyą heleńską. Dostrzegł, że ratunku szukać należy w zasadzie przeciwnej, w zasadzie *uspołecznienia*, będącej wyrazem idei braterstwa. Tę to zasadę obrał za podstawę dla ideału *Rzeczypospolitej*, który nakreślił i kilkakrotnie przeprowadzić usiłował w Syrakuzach, narażając swoję wolność i życie. Z dwóch wszakże składników zasady braterstwa, uwzględnił Plato tylko jeden — wspólność. Przepisał wspólność mienia i dóbr wszelkich tej najwyższej warstwie obywateli, która tworzyć miała klasę rządzącą; nie zaprowadził wszakże braterskiej równości pomiędzy nią a pozostałemi dwoma (klasami przemysłowo-handlową i urzędniczo-wojskową), a nie rozszerzył nawet na nie zasady wspólności. Nie wzniósł się też ponad stanowisko walk narodowościowych ku idei kosmopolitycznej braterstwa ludów, skoro zachował klasę wojowników.

Ideał ten więc był bardzo niedoskonały, a rzeczywistość życia greckiego nie poszła wytkniętą przez Platona drogą, lecz rozwijała się w kierunku indywidualizmu, który obrał za podstawę

swego planu państwowego Zeno. Ten kierunek rychło doprowadził państwa greckie do upadku politycznego i do utraty niepodległości.

Tą samą drogą odbywał się i rozwój państwa rzymskiego, które odziedziczyło spuściznę idejową Grecyi. A chociaż dzięki militaryzmowi urosło do rozmiarów kolosalnych i przez jakiś czas utrzymywało się sztucznie, stoczone wszakże wewnętrzną niemocą, rozpaść się musiało w gruzy pod pierwszym naciskiem.

Daremnie stoicyzm usiłował odrodzić upadające wskutek wyłączności indywidualizmu społeczeństwo starożytne, wszczepiając w nie jeden z czynników zasady braterstwa — równość i walcząc z niewolnictwem, które było rakiem toczącym owo społeczeństwo. Zasady jego, jako filozoficzne, dostępne były tylko dla wyżyn umysłowych, dla najlepszych jednostek. Dopiero chrześcijaństwo spopularyzowało tę myśl odradzającą ludzkość, nadając jej formę religii; ale też stanęło ono w krańcowej sprzeczności z indywidualistyczną budową państw starożytnych i przyczyniło się do jej ostatecznego upadku.

Ideałem społecznym Chrystusa i najbliższych uczniów jego było społeczeństwo oparte na czystej zasadzie braterstwa. Według tego ideału utworzone były pierwsze gminy chrześcijańskie, w których równość zupełna członków połączona była z wspólnością dóbr. Ale w chrześcijaństwie historycznem zatracił się zupełnie pierwiastek wspólności, pod wpływem przystosowania się do indywidualistycznych instytucyj i tradycyj starożytności; natomiast równość w postaci najpowszechniejszej, jako równość wobec Boga, stała się czynnikiem podstawowym w dalszym rozwoju cywilizacyi. Już w samej nauce Chrystusa wyzwolona z ciasnoty nacyonalizmu i wyobrażeń o «narodzie wybranym», wchłania ona pierwiastki kosmopolityczne, wyrobione przez cywilizacyą rzymską, a przez to staje się dźwignią postępu powszechnego.

I drugą stroną swojej nauki zwiastował Chrystus panowanie idei braterstwa: przyszedł on, jak sam twierdził, po to, by znieść «Zakon», a wszczepić na jego miejsce miłość. To znaczy, zastąpić żelazny pierścień przymusu zewnętrznego, nakazu surowego prawa, przez atrakcyjną siłę, wiążącą jednostki w całość.

Chrześcijaństwo wszakże urzędowe i w stosunku do tej idei staje w częściowym rozdźwięku z nauką Chrystusa, wprowadzając naśladującą władze cywilne, hierarchią kościelną. Przeciwko takiemu «spoganieniu» chrześcijaństwa, występuje szereg

reformatorów, jak albigojczycy, Wiklif, Huss, domagający się równości pod postacią prawa wszystkich do kapłaństwa czyli «czaszy dla ludu». Niektórzy (jak taboryci, anabaptyści) wprowadzają także i pierwiastek wspólności dóbr. Z niesłychanym okrucieństwem tłumione i zatopione w krwi swoich wyznawców, ruchy te przechowywają tradycyą idei braterstwa, tkwiącą w chrześcijaństwie pierwotnem, która niebawem znajduje zastosowanie polityczno-społeczne, wywołując szereg powstań włościańskich (w Anglii i we Francyi w XIV wieku; w Niemczech «wojny chłopskie» w XVI wieku) odbywających się pod hasłami równości obywatelskiej, a ściśle związanych z ruchem reformatorsko-religijnym [1]. Ruchy mieszczańskie po części wiążą się z włościańskiemi (w Niemczech) po części zaś (we Francyi), reprezentują tradycyą republikańską państw starożytnych — pogląd na władzę, jako na służbę publiczną, przeciwstawny feudalistycznemu, który widział w niej przywilej.

Oba te czynniki przygotowują więc żywioły, z których syntezy powstanie Rewolucya francuska. Tymczasem stłumione zostają przez feudalizm, który wszakże głęboko podkopały. Niebawem też na jego gruzach wyrasta absolutyzm.

Obręcz żelazna przymusu zewnętrznego ściska znowu społeczeństwa europejskie, spajając je w wielkie państwa. Znowu więc siły wyzwoleńcze zaczynają przeciwdziałać temu ciśnieniu pod hasłami indywidualizmu.

Wszakże walka indywidualizmu z państwowością przybiera w Europie nowożytnej formy inne, niż w państwach starożytnych. Idea równości, dzięki chrześcijaństwu, stała się już dorobkiem cywilizacyjnym powszechnym. Ten składnik idei braterstwa wchodzi w syntezę z indywidualizmem, wytwarzając ideał państwa republikańsko-demokratycznego, stanowiący myśl przewodnią Rewolucyi. Dzięki tej syntezie stała się płodną dla życia politycznego świata zachodniego.

Wśród społeczeństw nowożytnych jedno było, które do naj-

---

[1]) «Chcemy, ażebyś nas uwolnił nazawsze, nas i nasze ziemie, abyśmy nigdy nie byli uważani za chłopów (villeins) lub tak nazywani» — takie żądanie wystawili włościanie powstający, Ryszardowi II. w Anglii. Król przyrzekł, ale nie dotrzymał. O wiele dalej sięgały żądania włościan w Niemczech; były między niemi i takie, jak «pokój wieczysty dla całego chrześcijaństwa»; niemniej i w kierunku wspólności — żądanie, aby zwierzyna, lasy i sianożęcia były wolne i służyły wspólnemu użytkowi.

wyższego szczytu doprowadziło indywidualizm w urządzeniach państwowych. Była to Rzeczpospolita polska — reprezentująca wolność, doprowadzoną często do samowoli, bez równości. Ten indywidualizm zaprowadził ją na brzeg przepaści wcześniej niż wybiła godzina syntezy, która rozpoczęła się przeto w chwili niesłychanie trudnej.

Teraz dwie drogi otwarły się przed cywilizacyą współczesną — dziś już nie europejską, lecz zachodnią — bo obejmującą całą półkulę zachodnią. Jedną jest wyrugowanie zupełne czynników braterskich i zepchnięcie tej cywilizacyi w przepaść, która pochłonęła państwa starożytne. Tę wytyka jej *indywidualizm* wyłączny, powstający na demokratyzm i ideę równości; uważający wszelkie związki społeczne za wędzidła narzucone niepotrzebnie jednostce, słowem powtarzający naukę Pollusa. Drugą drogą jest dalszy postęp w kierunku syntezy, rozpoczętej przez pracę ideową XVIII stulecia, a wcieloną w życie przez Rewolucyą francuską: wchłonięcie do jej wytworu — społeczności nowożytnej — pozostałych pierwiastków idei braterstwa; urzeczywistnienie ostateczne ideału naszkicowanego przez Chrystusa. Jest to droga w kierunku *uspołecznienia* państwa dzisiejszego; droga ku stopniowemu zniesieniu «zakonu», a zastąpieniu go przez spójność wewnętrzną społeczności.

Przez cały wiek XIX dwa wymienione prądy walczyły z sobą, przełamując się wzajemnie, łącząc się ze składnikami przeciwnemi, niejasne i nieświadome dążności swoich własnych oraz pokrewnych żywiołów w rozmaitych objawach życia, myśli i czynu. Nic też pozytywnego nie stworzył wiek XIX w dziedzinie instytucyj; nic takiego, coby stanowczo znamionowało postęp w jednym lub w drugim kierunku. Ale oto na początku XX stulecia jasno stają przed nami obie drogi. Którą z nich obierze postęp dziejowy? Takie zagadnienie staje przed badaczem dziejów. Dla człowieka czynu atoli, któremu drogie są zdobycze cywilizacyi, nie może być wątpliwości, jaką ma obrać.

BELLETRYSTYKA NASZA W ROKU ZESZŁYM.

Rok ubiegły nie dał nam tak znakomitych i rozgłośnych utworów jak *Krzyżacy* albo *Ludzie bezdomni;* żaden z pierwszorzędnych powieściopisarzy naszych nie obdarzył nas większem dziełem, zaledwie drobnemi obrazkami i nowellami się zadawalając; w liryce nie pojawiło się również nic bardzo wybitnego i świeżego; tylko dramat do pewnego przynajmniej stopnia wykazuje, jeżeli nie skończone dzieła sztuki, to żywe dążenia do podniesienia i udoskonalenia tej formy twórczości.

Zacznijmy od poetów i dramatyków zarazem. Tu siłą swego *Wesela* wybił się na pierwszy plan Stanisław Wyspiański. Nie nazwę go «wielkim poetą», któregośmy długo oczekiwali, nie nazwę go bezpośrednim spadkobiercą Mickiewicza i Słowackiego, gdyż okazałbym się niesprawiedliwym względem tych, co pomiędzy nim a tamtymi działali, torując drogę następcom; ale niepodobna nie uznać w autorze *Warszawianki*, *Legionu* i *Wesela* wyobraźni plastycznej tak bogatej i żywotnej, jakiej żaden ze współczesnych nie posiada, niepodobna nie widzieć w jego dziełach pomysłów genialnych, jakiemiby nie wzgardzili najwięksi nawet, niepodobna wreszcie nie stwierdzić, że bóle i cierpienia narodu bierze «w pierś swą magnetycznie», nie poprzestając na samym artyzmie, na samem fantazyowaniu. Szukał on drogi swojej przez lat wiele, niektóre temata już mu przed laty mniej więcej dziesięciu zjawiały się w wyobraźni, ale nie śpieszył się z ich obrobieniem i dopiero wówczas gdy uczuł, że już się należycie ukształtowały w głębi jego duszy, nadał im kształt artystyczny. I w dobieraniu tego kształtu odbywał jeszcze próby: zapatrywał się to na wizye Maeterlinkowskie, to na plastyczne obrazy tragedyi greckiej, aż w końcu wytworzył sobie własną formę, w której można wprawdzie wyróżnić i wykazać pierwiastki składowe, lecz która jako całość jest istotną jego zdobyczą. A forma ta jest różna, daleka od maniery, w każdem dziele inna. Dość tylko zestawić ze sobą: *Protesilasa i Laodamię* z *Warszawianką*, z *Klątwą* z *Legionem*, z *Weselem*, ażeby się o tem przekonać. Idee, głoszone przez Wyspiańskiego nie są nowe; pojęcie tragiczności również ale sytuacye, wynikające ze starcia się potęg, przeważnie w

wnętrznych, są własnością poety niepodzielną, a tak niekiedy wielką, że wprawia w zdumienie. I poemata jego, będące jakoby rozwinięciem *Króla-Ducha*, ale rozwinięciem samoistnem, bez niewolniczej zależności, poemata, wydane p. t.: *Bolesław Śmiały* i *Kazimierz Wielki*, lubo nie dorównywują najlepszym dramatom, stanowią w każdym razie świetne próby epiczne. Gdyby miał większe staranie o czystość i poprawność polszczyzny, którą szpeci dziwacznemi konstrukcyami, i gdyby myśl jego jaśniejszą a zarazem głębszą się stała, możnaby po jego wyobraźni arcydzieł się spodziewać.

I Kazimierz Tetmajer wrócił w roku zeszłym do dramatu. Ogłosiwszy przed laty *Sfinksa* w duchu Maeterlincka, obecnie dał nam nową fantazyę dramatyczną p. t.: *Zawisza Czarny*, gdzie po części Hauptmannowskie odzywają się echa, a po części oddziaływanie mistycznej idei Słowackiego o winie duchowej. Obrazy życia wiejskiego, części liryczne są tu niewątpliwie najlepsze, gdyż zarówno psychologii osób działających, jak układowi wiele zarzucić można, a przedewszystkiem zauważyć potrzeba, że postać rycerza sławnego nietylko w Polsce, ale i wśród obcych, nie porywa, nie unosi, a czasem poprostu w gniew wprawia, nie dorastając tej miary, jaką mu nadała tradycya. Być może, iż wybór chwili, w której go nam poeta przedstawił, nie był szczęśliwy, a że na tytule widnieje napis: część I-sza, wolno się spodziewać nowego wcielenia bohaterstwa i rycerskości Zawiszy Czarnego. — Z tych czasów, kiedy ludzie chodzili w zbroje zakuci, przenosi nas powieść Tetmajera p. t.: *Panna Mery* na woskowane posadzki dzisiejszych salonów plutokratycznych, malując jeden głównie charakter kobiety o niezmiernie bujnym temperamencie, nadzwyczaj żywej wyobraźni, próżnej, ambitnej i samowolnej, wciąż świadomej swoich uczuć i lubiącej je analizować. Pokochała artystę-muzyka, niedwuznacznie przyrzekła zostać jego żoną, ale gdy jego opera upadła, usłuchała podszeptu próżności, zdeptała uczucie i wyszła za zrujnowanego hrabiego, sportsmena, «błyszczącą cholewę». Uczucie powróciło, gdy muzyk, przecierpiawszy katusze, wyrwany niemal z objęć śmierci, stał się sławnym na obu półkulach, lecz wówczas on niem wzgardził, a pani Mery, jakby spełniając przekleństwo rzucone przez Gustawa z IV-ej części *Dziadów*, w apatycznem osłupieniu, zabawiała się złotem i klejnotami w skrytce swego pustego pałacu — zapewne nie długo, bo

ją prawdopodobnie pociągnie nowa miłość ku innemu artyście. Szkoda, że poeta nie ma dowcipu na zawołanie; przydałby mu się on bardzo w tej powieści, gdzie rozmowy dowcipne a zręczne były niezbędnym czynnikiem, jeśli się chciało przedstawić dobrze stosunki salonowe, zwłaszcza wobec takiego charakteru, jak Mery. — Oprócz tych dwu większych utworów, Tetmajer zebrał w jeden tomik dawniej pisane poezye, dotykające spraw narodowych, wolne od pesymizmu, przeniknięte myślą budzenia otuchy i odwagi. Tomik ten ma tytuł: *Hasła*.

Andrzej Niemojewski obficie zasilił literaturę naszą w roku zeszłym; prócz drobnych szkiców, ogłosił dwa obszerne dramata: *Familia* i *Rokita* oraz prozą pisane poemaciki, związane ze sobą jedną złotą nicią idei, p. t.: *Legendy*. Dwa dramata różnią się od siebie zupełnie nietylko treścią, ale i sposobem wykonania. *Familia* jest pełnym grozy obrazem realistycznym stosunków wiejskich, *Rokita* jest poematem symbolicznym, w którym duchy i ludzie służą ku uwydatnieniu myśli o wiecznem, niezmordowanem, lubo zawodów i bólów pełnem dążeniu do światła i szczęścia. Siła i jędrność, znamionujące poezye Niemojewskiego wogóle, znajdują się także i w jego dramatach, więcej wszelako w *Familii*, aniżeli w *Rokicie*, gdzie pewna niejasność, rozwiewność pomysłu (nie wiadomo dlaczego bojownik światła i szczęścia ma być synem Złego) wpłynęła także i na samo jego wcielenie. Miększy ton, zgodnie z charakterem ewangelicznym nastroju, panuje w *Legendach*, które są u nas w tej formie zjawiskiem zupełnie nowem w literaturze, bo tylko stroną zewnętrzną przypominają wieki średnie, zamiłowane w cudowności, gdy wnętrze jest zupełnie nowożytne z zabarwieniem humanitarnem i idealistycznem.

Jan Kasprowicz dał kilka pieśni *Ginącemu światu*. Są one i nastrojem i formą odmienne od tych, jakie dawniej autor pisywał; zyskały sobie rozgłos znaczny; niektóre z nich ogłoszono za arcydziela. Uznając niezmierną głębię uczucia, jakie w nie włożył Kasprowicz, podniosłość tonu niezwykłą w naszych czasach, mnóstwo świetnie przedstawionych obrazów, nie mogę się zgodzić na to, ażeby forma w nich obrana, prawie przestająca być artystyczną, miała nadzwyczajne zalety. Hymn nie może być zbyt długim, jeżeli niema znużyć; naprężenie uczucia nie może trwać ciągle, jeśli się niema stać przykrem i przejść w nieczułość; miara jest konieczną w artyzmie, bo bez niej samo pojęcie

artyzmu zginąć musi. Otóż pieśni Kasprowicza, o których mówię, grzeszą przeciwko tym zasadom, nie zadawalają poczucia estetycznego jako całość, choć w poszczególnych częściach zdumiewają siłą i głębokością.

Po tych pieśniach najwłaściwiej będzie wspomnieć o ich wielbicielu Stanisławie Przybyszewskim. Wydał on w roku zeszłym dwie dalsze części swojego *Homo Sapiens* t. j. *Po drodze* i *W Malstromie*, a nadto dwa dramata p. n.: *Taniec miłości i śmierci*. Ponieważ w czasopiśmie niniejszem była już obszerniejsza ocena powieści *Po drodze*, a ja się z nią całkowicie zgadzam, powiem tedy tylko słówko o trzeciej części trylogii: *W Malstromie*, gdzie wedle ostrzeżenia samego autora (w wydaniu niemieckiem) mieści się myśl jego istotna. Rzeczywiście Eryk Falk, bohater trylogii, zostaje tu napiętnowany jako szubrawiec i sam do tego przekonania przychodzi. Całe opowiadanie jest właściwie opisem udręczeń tego bezczelnego sofisty, a zarazem prób, jakie przebiegły jego umysł z zanikłem sumieniem podejmuje, by jeżeli nie wobec siebie, to wobec innych za coś wyższego jeszcze uchodzić. Możnaby przyjąć takie przedstawienie rzeczy z uznaniem, gdyby Czerski, występujący, zdaje się, w roli samego autora, nie był również chorobliwym megalomanem, otrząsającym się niby ze wszelkich pęt, nie chcącym działać wspólnie z jakiemkolwiek stronnictwem, lecz polegającym jedynie i wyłącznie na sobie samym. Po utracie wszelkich ideałów, pozostało mu jeszcze pojęcie ludzkości jakiejś abstrakcyjnej, w imię której i dla której działać warto. Jest to pojęcie tak niejasne, tak nieokreślone, że o niem, a więc i o jego przedstawicielu, ani źle, ani dobrze mówić niepodobna. W dramatach swoich, wybornie pod względem scenicznym zbudowanych, Przybyszewski jest zupełnie jasnym i z ogólnego stanowiska etycznego wolnym od zarzutów, jakie mu z powodu jego powieści i teoryi zrobić można. Grzech każdy mści się; nie daje spokoju przestępcy, wydobywa na jaw wszystko, cośmy starannie ukryć usiłowali, wywołuje męki sumienia, które odrzucić jako stary przesąd napróżno staraliśmy się, i w końcu popycha ku unicestwieniu. Płciowy stosunek jest tu wyłącznym tematem, a że on ukazuje się już, nie jak zwykle u francuskich dramatyków w kształcie znanego trójkąta małżeńskiego, lecz w kształcie prawidłowego wieloboku; ponieważ wszystkie zewnętrzne okoliczności, zakrywające dla oczu ohydę tego stosunku, zostały pominięte, a ludzie przemienili się w siły żywiołowe, — dramata sprawiają

wrażenie ogromne; wielu zaś słuchaczy, trawiących spokojnie francuskie farsy lubieżne, wpada w nieuzasadnione tym razem oburzenie w imię moralności, w imię godności kobiet polskich i t. p. Nie przeczę, ujawnione zostały sprawy drażliwe w sposób drastyczny; ale pomawiać autora w tym razie o dążność niemoralną, kiedy on chciał tylko naturalne wyniki «grzechu» we właściwy sobie silny sposób ujawnić, nie jest rzeczą ani sprawiedliwą, ani rozważną, bo odbiera autorowi wiarę w to, czy opinia potrafi rozeznać dobre od złego, czy jest w niej trafny sprawdzian oceny.

Wiele interesujących stron życia z doby najnowszej wśród naszej «inteligencyi», przejmującej chciwie «nowe prądy» nakreśliła Zofia Wójcicka w dwu swoich dramatach: *Dyletanci* i *Psyche*. Znać na nich wpływy obce, lecz z wielką domieszką właściwości indywidualnych samej autorki, wkładającej w analizę stanów psychicznych dużo serdecznego, głębokiego uczucia.

Autorem trzech dramatów jest znany powieściopisarz i publicysta, Wilhelm Feldman. *Sądy Boże*, *Cudotwórca*, *Czyste ręce* — oto ich tytuły. O *Cudotwórcy* była w tem piśmie szczegółowa wzmianka, słusznie uwydatniająca zalety obserwacyi i budowy. O dwu innych toż samo powiedzieć można. Stanowią one bolesną analizę ujemnych stron naszego społeczeństwa w dziedzinie szacherek i nadużyć ekonomiczno-finansowych, paczenia się i łamania charakterów, zanikania sumień, byle tylko żyć wystawnie, byle nasycić namiętności. *Sądy Boże* podobnie jak *Cudotwórca*, wzięte są z życia żydowskiego, które autor zna tak dobrze i umie odtwarzać bez wpadania w niesmaczną karykaturę. Styl jędrny, żywy, dzielnie pomaga do uwydatnienia treści pełnej interesu.

Tadeusz Konczyński, autor *Otchłani* dał w roku zeszłym nowy dramat p. t.: *Kajetan Orug*. Chociaż na tle ekonomicznem się rozwija, dotyczy on właściwie duszy. Orug był marzycielem, poetą; do pracy przemysłowej zabrał się dla zyskania pozycyi, któraby mu umożliwiła otrzymanie ręki panny z domu obywatelskiego, wielce pyszniącego się koligacyami; gdy stał się bogatym, trzymano go w rezerwie, mając nadzieję, że jaki utytułowany arystokrata się oświadczy; panna kochała Oruga, ale przyzwyczajona do zbytku, nie rozumiała życia bez wielkiego majątku, przytem wrodzona kokieterya nie dozwalała jej całem sercem pokochać. Orug poznawszy się na nieuczciwych intrygach, zmierził sobie i pannę; zwątpił o uczciwości i szlachetności wszyst-

kich, zabił w sobie nawet litość, chciał jedynie wrócić do swych marzeń dawniejszych. Czy zdoła?... Wadą dramatu zasadniczą jest nieokreśloność «idei» Oruga, którejby się chciał poświęcić; czytelnik nie wie, czy ma przed sobą fantastę, czy też męża naprawdę wielkiemi myślami przepełnionego. Przytem i wykonanie w kilku ważnych sytuacyach jest wadliwe; tak że *Kajetan Orug* nie wywiera takiego wrażenia jak *Otchłań*. — Konczyński jest także autorem analizy psychologicznej p. t.: *Śladem tęsknoty*, przedstawiającej stosunek refleksyjnego poety do miłości; popęd twórczy zwycięża w nim uczucia, obudzone przez dziewczę pełne naiwnego powabu.

Zbiorki *poezyj lirycznych*, a raczej refleksyjno-lirycznych, gdyż przesiąknięcie uczucia myślą jest dziś powszechnym objawem, były w roku zeszłym mniej liczne, aniżeli w poprzednim, chociaż w czasopismach pojawiało się ich niemało. Na wyróżnienie zasługują tu najprzód *Sny o potędze* Leopolda Staffa, dlatego głównie, że wśród chóru skarg na chorobę, na niemoc woli, znajdujemy w nich przynajmniej *dążenie* do wyrobienia w sobie hartu, do zwalczenia słabości, zwątpień, apatyi. Są to wprawdzie porywy dopiero, a może nawet porywy czysto frazeologiczne (jakby o tem można było wnioskować z kilku ustępów, a zwłaszcza z niefortunnego pod względem wyrażeń wiersza naczelnego), ale nawet taki przejaw wśród najmłodszego pokolenia poetów, musimy uważać za dodatni, za pożądany. Złudzeń co do owej potęgi woli nie brak poecie, nie brak nawet sofisteryi, kiedy powiada, że kto wszechmoc swoją nazewnątrz wywiera, ten chyba nie jest jej pewny; wśród dzisiejszego atoli chaosu pojęć byłoby może nadmiernem wymaganiem, by młodzieniec mógł go sobie we wczesnej dobie uporządkować, kiedy nawet doświadczeńsi błądzą poomacku.

Więcej rozwagi i umiarkowania, więcej nawet zewnętrznej, formalnej doskonałości, ale mniej polotu okazują *Poezye* Józefa Wiśniowskiego, które już były oceniane w tem piśmie (r. 1901, str. 225, 226). Nie porwą one i nie zachwycą, ale nie wywołują też protestów rozumu i uczucia, a niekiedy powabem i prostotą znęcą czytelnika. Życie nasunie autorowi niewątpliwie temata poważniejsze i wywoła głębsze zastanowienie nad zjawiskami, by sięgnąć aż do ich istoty.

Cierpienia biednych ludzi, przytłaczanych stosunkami miasta fabrycznego serdecznie odczuł i poprostu bez sadzenia się na wykwint formy przedstawił Artur Gliszczyński w zbiorku poezyj p. t.: *Z mroku i dymu*. Wiersz wstępny p. n.: *Artysta*, bardzo

trafnie i z uczuciem maluje położenie poety, zmuszonego do pracy zarobkowej wśród stukotu maszyn, pośród ludzi depcących się wzajemnie w pogoni za groszem, wobec nędzy bezradnej, wobec tych «tradycyj miejskich», co wypełniają połowę tomu, a przedstawiają stosunki łódzkie.

O poemacie Gustawa Daniłowskiego *Na wyspie*, wzmiankuję tylko, odsyłając czytelnika do rozbioru pomieszczonego dawniej w tem piśmie.

Jakże się od tych poezyj jaskrawo odcinają samolubne, cyniczne wiersze Kazimierza Lewandowskiego, ogłoszone pod znamiennym napisem *Lais*, przypominającym heterę helleńską i w życiu i w poezyi rozgłośną. Autor ma niewątpliwie talent, pisze zręcznie i ujmująco, ale brak mu poczucia etycznego.

Wzruszenia erotyczne, pomieszane z wrażeniami, jakie daje przyroda tatrzańska wypełniają zbiorek *Poezyj* Edmunda Biedera, zdradzający zbyt często naśladowanie Tetmajera albo Rydla, choć tu i ówdzie przebija się w nim nieśmiało jakiś rysik indywidualny, który może z czasem zmężnieje.

Na rubieży między poezyą a prozą mieszczą się *Utwory* zmarłego w 20-tym roku życia Witolda Gozdawy Godlewskiego. Była to dusza rwąca się do życia, spragniona go wbrew wszelkim pesymizmom, wynosząca je ponad wszystko z upojeniem, która nie pozwalała prawie młodzieńcowi widzieć, iż życie bez treści wypełniającej je, jest mrzonką. Oszołomiony hasłami indywidualistycznemi, marzył o «nadczłowieczeństwie», przeczył istnieniu prawdy i nieprawdy, dobra i zła; przeczył obowiązkom wspólnym dla wszystkich ludzi, chciał się wyłamać z pod ogólnych «praw obyczajowo - towarzyskich», bo istnieje tylko «świat duszy inny i odrębny u każdego», a więc ma się też rządzić odrębnemi prawami. Niebawem atoli zaczął się przekonywać, że owe dusze odrębne, puszczone samopas bez żadnego hamulca, domagające się dla siebie praw odrębnych, stają się katami innych dusz i katami samych siebie. Przerzucał się z jednego nastroju w drugi, nie mogąc znaleźć rozwiązania dręczących duszę młodzieńczą zagadnień, rwąc się do życia, a nie wiedząc, dokąd, w jaką stronę i jakiemi drogami iść najlepiej. Był szczerym i wszystkie swe omamienia otwarcie składał w swe pieśni i opowiadania.

Na tejże rubieży, ale w zupełnie innym charakterze występują pisma Jerzego Orwicza (pseudonim kobiety). Miękka, serdeczna uczuciowość, wielkie poszanowanie dla form towarzy-

skich, pomimo dążności postępowych, zamiłowanie w kreśleniu drobiazgów i drobiażdżków życia powszedniego, patetyczność umiarkowana i skromność wyrazów, prawie odrazu zdradzają tajemnicę pseudonimu. Autorka wydała najprzód gawędę wierszowaną z życia ludu wiejskiego p. t.: *Bartłomiej Słomka*, potem obrazek sielski z życia szlacheckiego p. t.: *Wśród rodzinnych gniazd* i zbiorek opowiadań p. t.: *Okruchy życia*. Radość życia nie przelewa się tu rwącemi potokami, ale płynie spokojną strugą. Z usposobienia i przekonania autorka woli jasne niż ciemne barwy, woli kreślić objawy zadowolenia niż zgryzoty, chociaż i tych nie unika. Nad stylem musi jeszcze dużo popracować, zanim zostanie jego władczynią.

Prozą, lecz prozą poetycką, przypominającą nieco Chateaubrianda, tylko bez jego patosu, napisał Feliks Habdank «studyum» swoje p. t.: *Azaryasz*. Jest to jakby wielka *przypowieść* o wyższości życia czynnnego nad kontemplacyjnem, o wyższości uczucia nad rozumem, o konieczności idei ofiary, poświęcenia, jednem słowem wprowadzenia w czyn tych pięknych i wzniosłych zasad, jakie od wieków słyszymy wygłaszane, a tak rzadko wypełniane. Koloryt wschodni stylu, bardzo zresztą umiarkowany, nadaje opowieści dużo powagi i dużo powabu.

Przechodząc do autorów piszących wyłącznie prozą, najprzód złożyć należy hołd zmarłemu Sewerowi (Ignacemu Maciejowskiemu), który w zeszłym roku wydał zbiorek nowel p. t.: *Legenda*, a w czasopismach pomieścił to *Kartki z podróży*, to obrazek *W lesie*. O wszystkich niemal utworach tego, pogodnie na świat, lubo zły, patrzącego optymisty, możnaby powiedzieć tak, jak on zatytułował jeden ze swych tomów, że są to «obrazki malowane w słońcu». Nawet przedstawiając ciemne strony życia i jego dramatyczne przejścia, nie pozbył się Sewer uśmiechu, nie zaniedbując złemu przeciwstawić dobrego, mizantropii — ukochania ludzi; pesymistycznym wybuchom — nadziei polepszenia doli. Za przykład dobitny może posłużyć opowiadanie, kreślącej uroczo dobroczynny wpływ nauczycielki wiejskiej, którą bardzo rychło otacza egzaltowana niemal miłość wioski całej, upatrujące w nauczycielce zesłankę niebios. Z tą cudną sielanką proszę zestawić opowiadanie Jana Świerka p. t.: *Z szarej przędzy*, z tego samego wątku wysnute, wcale nie pesymistyczne, a jednak o ileż smutniejsze, a nawet boleśniejsze. Tamto jest poemacik prozą pisany, to rysunek realistyczny, z dłuższej obserwacyi, a może i własnego

doświadczenia poczerpnięty; tamto obrazek w słońcu malowany, to fotografia robiona w dzień dżdżysty.

Najznakomitszą powieścią zeszłoroczną jest *Sprawa Dołęgi* Józefa Weyssenhoffa. Autor *Żywota Podfilipskiego* jest powieściopisarzem nawskroś współczesnym, chociaż bynajmniej nie «modernistą». Zna on doskonale tych estetów życiowych, co wyczuwają każdy, by najdrobniejszy dysonans, rażący ich miłość własną, ale nie chcą, a może nawet nie umieją przejąć się cudzemi cierpieniami, choćby najdolegliwszemi. Zna wybornie wahadłowy stan dusz, dobrych w gruncie, lecz strasznie zależnych od wrażeń chwilowych, na które natychmiastowo reagują, niezdolne do osiągnięcia stałej równowagi zasad, przekonań, charakteru. Zna także tych poliszynelów frazesu, którym się zdaje, że wszystko: myśl, uczucie, czyn, można zastąpić gimnastyką słowa, jeżeli nie na pożytek bliźnich — bo o ten nie dbają — to na własną chlubę i chwalę. Modernistą atoli nie jest, jeśli przez modernizm rozumieć będziemy przeczulenie wrażliwości, uważane za przymiot najwyższy, a poczytywanie niezdolności do czynu za cechę duszy wysoko rozwiniętej. Owszem Weyssenhoff ceni bardzo rozum zdrowy, uczucie proste i szczere, pożyteczną działalność, charakter silny. Bohaterem w *Sprawie Dołęgi* zrobił — o zgrozo! — szlachetnego inżyniera, a wydrwił dowcipnie snującego się wśród arystokracyi dekadenta malarza, który fioletowe irysy rysuje na żółtem tle, nie dlatego zapewne, że tak to odczuwał, ale dlatego chyba, że widział to na nowych afiszach francuskich. Arystokracya nietylko już taka jak Podfilipski, ale rzetelna, stara, przedstawia się i w *Sprawie Dołęgi* bardzo smutnie, bo brak jej inicyatywy, a gdy popchnięta zzewnątrz wejdzie na drogę działania, to zamiast robić dobrze bodaj rzeczy małego zakresu, wypływa zaraz na wielkie wody polityki i zachowuje się z dystynkcyą wprawdzie, lecz głupio, bez najmniejszego pożytku dla kraju. Wśród mieszczaństwa wyróżnił autor jednę dzielną postać, nie bez wad i śmiesznostek osobistych, ale rozumną, ofiarną, wiedzącą czego chce i dokąd dąży. Jako całość *Sprawa Dołęgi* nie jest tak jednolitą jak *Żywot Podfilipskiego*, nie posiada tyle finezyi, lecz zawiera widoki rozleglejsze, zarysy charakterów silniejsze i różnorodniejsze, a sposobem wykonania dowodzi, że autor nie popadł w manierę, jest różnostronnym.

Jeżeli wrażeniem mierzyć będziemy wartość utworów, to uczuciem gorącem, polotem młodej wyobraźni, atmosferą pełną

szlachetnych pierwiastków, odznaczające się *Podniebie* Edwarda Paszkowskiego zdobyćby sobie powinno miejsce najpierwsze. Oddawna nie czytałem książki tak żywo, tak silnie, i tak bezpośrednio przemawiającej do serca, przejętego ideałami społecznemi, jak ta, po młodzieńczemu napisana, słaba w kompozycyi, nieudatna często w wyrażeniu, grupowaniu i myśli, jak ta *Kronika czwartego piętra.* A nie robi tego autor w sposób dawny, rozlewający obficie wody rzewności, lecz przeciwnie, uczuciowość jest tu bardzo powściągliwa, udaje raczej gniew, niezadowolenie, a nawet oburzenie, tylko że przejawia się wśród takich warunków, iż czytelnik łatwo się domyśla ukrytego usposobienia osób i tem silniej je odczuwa, im one zewnętrznie, powierzchownie wydają się szorstkiemi i oburkliwemi. Paszkowski znajdował się widocznie wśród tego grona zapaleńców, co się poczytywali za bardzo trzeźwych i logicznie myśl każdą rozsnuwających, podzielał serdecznie ich zamiary, dzielił z nimi ich radości i smutki, i po kilku latach, kiedy się gromadka owa z *Podniebia* w różne strony świata rozproszyła, serdeczną myślą ulatywał na owe gwarne zebrania, na których więcej było napomknień, aniżeli programów i odtworzył je duszą kochającą a mimowoli idealizującą wszystkie szczegóły, zrosłe z dobą szczęśliwej, bo żywej i życiem napełnionej młodości. Żadna faza duchowego naszego rozwoju w ostatnich trzydziestu latach nie doczekała się tak miłego, tak sympatycznego, a tak prawdziwego pamiętnika, jak ten paroletni okres istnienia pierwotnego «Głosu» w Warszawie. Jest to niezawodnem świadectwem, że okres ten działał płodnie, bo prócz rozumu miał za wodza serce, przejęte nie samolubnemi żądzami, nie rafinowaniem własnych wzruszeń, lecz dobrem ogółu, nawet z pewnem poświęceniem osobistych poglądów teoretycznych. Szczęśliwy, kto z czasów swojej młodości wyniósł taki zapas miłych wspomnień, bo chociaż w owem gronie nie brakowało charakterów i zdarzeń ujemnej natury, to przecież ogół ich był zacny.

Nie wyniósł takiego zapasu Stanisław Pytliński, autor powieści p. t.: *Koledzy*, lecz nie stracił wiary w żywotność całego pokolenia. Choć kreśli bardzo bolesne stosunki, nie myśli uderzać w ton rozpaczy, a złe, dostrzegane wśród ludzi, i to najbliższych, z którymi wiele przecierpiał i wiele przemyślał, nie pogrążą go w nastrój pesymistyczny, bo dostrzega także i objawy dodatnie, świadczące, że wytwarzanie dobra wśród narodu nie wyczerpało się bynajmniej. Wątku do swej opowieści zaczerpnął z własnych,

niezbyt pewnych wspomnień uniwersyteckich, kiedy wśród ogółu inteligentnego i w piśmiennictwie «społecznictwo» było żarliwie wyznawanem. Co do czasu zatem opisywanego, zbliżał się autor *Kolegów* do autora *Kroniki czwartego piętra*, ale nie bierze ruchu owego tak szeroko, ścieśnia go owszem do szczuplejszych, niemal całkiem prywatnych rozmiarów. Tchnienie atoli społeczne przenika wszystkie karty książki i wytwarza pewną swoistą atmosferę duchową, którą oddychają osobistości przez autora odrysowane. Pod względem opanowania materyału zaobserwowanego czuć rękę swobodną, umiejącą strun różnych dotykać, bez wywołania zgrzytliwych dysonansów; takiej atoli suggestyjności uczuciowej, jak u Paszkowskiego w *Podniebiu* tutaj nie znajdujemy.

Stronę społeczną zupełnie pomija, choć częściowo także studentów maluje Alfred Konar w *Pannach*. Konar od lat wielu znany jest z rodzajowego w literaturze malarstwa; najlepiej podobno poznał i najtrafniej kreśli sylwetki scenki z tego życia drobnomieszczańskiego, w którem ciągłe kłopoty pieniężne walczą o lepsze z pragnieniem ubierania się elegancko i zadawania szyku. *Siostry Malinowskie* dały nam obrazy tej tragikomedyi szykownego wyglądu, uprzejmości towarzyskiej z jednej strony, a z drugiej głodzenia się, swarów i niesnasek rodzinnych, wśród których podobne charaktery wytrwać mogą całe lat szeregi, a żywsze i kapryśniejsze marnują się czy łamią. *Panny*, to jakby dalszy ciąg owej powieści w dwu znowu głównych postaciach: potulnej i zrezygnowanej Helci, żwawej, dowcipnej, namiętnej Kazi; pierwsza doczekała się pogodnego, otuchę w religii (bez bigoteryi) czerpiącego staropanieństwa, druga przechodziła z rąk do rąk, truła się, została wreszcie damą do towarzystwa głupszej od siebie, ordynarnej, ale sprytnej ladacznicy. Główną wadą tego utworu jest najprzód nieokreśloność czasu, w którym rzecz się dzieje, bo pewne początkowe wskazówki przenoszą nas w lata t. zw. «pozytywizmu warszawskiego», ale tuż obok są inne znacznie późniejsze. Ta nieokreśloność oddziałała i na bezbarwność tego życia młodzieży męskiej i żeńskiej, jakie w przeważnej części powieści poznajemy; autor bowiem nie mógł życia tego silniejszymi rysami naznaczyć, nie uświadomiwszy sobie należycie fazy rozwojowej, z którejby czerpać mógł materyał. Psychologia Kazi mianowicie, kiedy się znajduje w gabinecie z panami, jest bardzo wadliwą i psuje całą postać, która w innych ustępach bardzo szczęśliwie pomyślaną i wykonaną nazwać się może. Kompozycya jest nie-

zmiernie luźna, nietylko dlatego, że osnowa ciągnie się lata całe z nagłemi przeskokami ale i dlatego także, iż weszły do niej osobistości zgoła do akcyi niepotrzebne (większa część pensyonatu p. Latoszkiewiczowej). Najpiękniejszemi są energiczne przemowy Kazi (do literata i w szpitalu), oraz obrazki cichej, zrezygnowanej, marnej egzystencyi.

O autorach starszego pokolenia rozpisywać się nie będę; ich zalety i wady są dobrze znane i już niejednokrotnie nawet na tem miejscu były przeze mnie wykazywane; powiem tedy krótko, że Eliza Orzeszkowa ogłosiła nowy zbiorek prześlicznych obrazków i nowel p. t.: *Chwile*; Cecylia Walewska dała nową analizę psychologiczną, stan umysłowości kobiecej spółczesnej przedstawiającą p. t.: *Bez duszy;* Antoni Sygietyński zebrał w jednym tomie dawniej pisane *Drobiazgi*, pomiędzy któremi błyszczy jak brylant *Skałotocz-Palczak;* Adam Krechowiecki z werwą odmalował sceny z czasów Jadwigi i Jagiełły p. t.: *Fiat lux*, a z czasów Michała Korybuta p. t.: *Sława* (trzeci epizod z opowiadania *O tron*); Artur Gruszecki z właściwą sobie trafnością obserwacyi narysował sceny, jakie widzieć można *Na wyścigach* w Warszawie, rujnujących obywateli, którzy zamiast myśleć o ulepszeniach gospodarskich, ubiegają się z magnatami i przemysłowcami o nader zawodne nagrody.

Przechodzę do debiutantów i debiutantek, których liczba jest dosyć znaczna, a co ważniejsza i pod względem jakości niepoślednia.

Tu najprzód należy wymienić nazwisko L. Jahołkowskiej-Koszutskiej, która w rodzaju pamiętnika p. t.: *Z teki wrażeń*, okazała niemały talent pisarski i myśl do pewnego stopnia już wyrobioną. Ale że o niej była już mowa w «Poglądzie na świat» (r. 1901, str. 16, 17), poprzestaję na tej wzmiance.

A. Suszczyńska ogłosiła powieść p. t.: *Przekonana*. Autorka należy widocznie do najmłodszego pokolenia, które przekształciło nietylko powieść wogóle, ale i specyalny jej odcień, powieść psychologiczną, na obrazowanie stanu istot, dotkniętych neurastenią, nie umiejących ani na chwilę dojść do równowagi wewnętrznej. Kiedy istoty takie rozmyślają, to im w wywodach logicznych wciąż przeszkadzają uczucia, czy raczej co chwilowe wrażenia; a gdy coś odczuwają, to im się zdaje, że rozwinięta w nich zdolność do analizy nie pozwala im czuć całą pełnią duszy, wątpią o rzeczywistości i rzetelności swoich wzruszeń, męczą się tem

samem i zamęczają innych, co mają nieszczęście wejść z niemi w bliższe stosunki; same nie doznają szczęścia i dać go nie mogą innym. Jedną z takich istot w osobie Elli przedstawiła Suszczyńska w *Przekonanej*, podając szereg jej listów pisanych do siostry. Najpiękniejszemi, bo najsilniej odczutemi są ostatnie zwierzenia, kiedy Ella długo, bardzo długo żywi nadzieję, iż jej ukochany przyjdzie; a nawet dowiedziawszy się o jego jakiejś bardzo dalekiej podróży, jeszcze mniema, że podróż ta spowodowana koniecznością rychło się skończy, a ona obaczy swego Stanisława. A potem chwile rozpaczy, gdy się nadzieja rozwiała. Te kartki pod względem działania na uczuciowość czytelnika, pod względem siły wywoływania wizyj tragicznych są przepyszne i mało znajdują sobie równych w naszej belletrystyce kobiecej. Całość silnie wraża się w duszę; nie daje ukojenia, lecz przejmującym wyrazem bólu i rozpaczy przemawia do serca.

Spokojniejszy, bardziej codzienny obrazek nakreśliła Michalina Domańska w swojej *Brzydkiej*. Zamożna panna, wychowana na wsi, nieładna, nie miała od dzieciństwa zamiłowania do stroju, zabawy, a gdy na pierwszym balu w sąsiedztwie posłyszała przypadkiem, iż starać się o nią będzie młodzieniec dla jej posagu, choć ze wstrętem dla jej brzydoty, cierpi mocno, pogrąża się w apatyi, nie widzi celu życia. Cel ten wskazuje pannie niemłody już sąsiad, radząc, żeby się zajęła uczeniem dzieci i leczeniem chorych na wsi. Zawód w miłości znowu odbiera Józefie ochotę do pracy i znowu ów sąsiad budzi ją do działania, tym razem zadawalając i jej uczucia, gdyż pokochawszy w niej nie twarz, lecz «duszę», bierze ją za żonę. Osnowa opowiadania nie odznacza się pomysłowością, ale kilka scen odmalowała autorka żywo, charakterystycznie, dobrym, poprawnym językiem.

N. Bardzka w swoim *Utopiście* chciała odmalować człowieka, który mając sporo pieniędzy, dużo czasu a żadnych postronnych obowiązków, postanowił podnieść dobrobyt wieśniaków. Kupuje wioskę, urządza ją wzorowo, dba o zdrowie i oświatę ludu. Sama autorka osłabia nieco wrażenie, jakie mogłaby wywołać działalność jego obywatelska, nazywając go utopistą; lubo w zakończeniu stara się udowodnić, że dobry jego przykład pociąga za sobą innych, dotychczas lekko traktujących życie; wszelako to wszystko, co autorka przedstawia, wydaje się wziętem nie z rzeczywistości, lecz z fantazyi. Rzecz wykonana została dawnym

powieściopisarskim trybem, dydaktyzm i opisowość dużo tu zajmuje miejsca.

Jan Augustynowicz, autor *Księdza Prota*, gdzie okazał dużo bystrości obserwacyjnej, kreśląc postaci mało dotychczas u nas z tej strony rozpatrywane, zebrał dawniejsze i nowsze swoje opowiadania i obrazki, wydając je p. t.: *Pociągnięcia pędzlem*.

Są tu rzeczy bardzo młodocianem piórem rysowane, zdradzające na każdym niemal kroku naśladowanie to Adama Szymańskiego, to Wacława Sieroszewskiego, to Sienkiewicza; są także i rzeczy oryginalniejsze, z pewną siłą albo subtelnością kreślone. Może się przyda autorowi przestroga, iż krajobrazy i stosunki dalekie, których autor sam nie widział, o których jeno słyszał i czytał, lepiej, bezpieczniej nawet jest podawać w formie opowieści cudzej, subjektywnej, aniżeli w kształtach przedmiotowych, przez samego autora gwarantowanych. Praca nad czystością języka, nad wyrzuceniem niewłaściwych, obcych zwrotów, byłaby również pożądaną.

Stefan Krzywoszewski, który przed dwoma laty ogłosił w Warszawie zbiór nowel p. t.: *W walce życiowej*, dał w roku zeszłym dwie powieści: *Zmierzch* i *Pani Jula*. Pierwsza z nich przedstawia stosunki towarzyskie i moralne w kraju, druga w Paryżu, ale wśród polaków; pierwsza maluje bardziej stronę zewnętrzną, druga psychologiczną. Zwyrodnienie etyczne i w pierwszej i w drugiej główną odgrywa rolę. Osłabienie nietylko zasad moralnych, ale życia rodzinnego wogóle pod hasłem wyzwolenia z więzów tradycyi, oddziałało zgubnie na pojęcia i usposobienia kobiet, zatarło w ich duszach, albo całkiem z nich wymazało wyrzuty sumienia, a użycie za jedyny drogowskaz podało. Styl autora jest giętki i zręczny, ale raczej publicystyczny niż artystyczny.

Bardzo podobne stosunki, tylko na rozleglejszą skalę odtworzył Jan Sielski w opowiadaniu p. t.: *W pół drogi*. Jesteśmy tu wśród artystów muzyków polskich, zamieszkałych w Paryżu i przywykłych już do trójkąta małżeńskiego przy najlepszej napozór wzajemnej przyjaźni mężczyzn. Zetknięcie się z temi trującemi miazmatami duszy świeżej, naiwnej, ufnej, działa straszliwie. Autor pod względem czysto pisarskim jest panem materyału, kreśli swe postacie i sytuacye ręką swobodną, stylem jasnym, prostym, nie ubiegającym się za wykwintami, ale wyrażającym wybornie to, co miało być wyrażonem.

Smutne, przykre bolesne sceny z życia szlachty zbankruto-

wanej skreślił publicysta znany z prac różnorodnych na polu etnografii i krytyki artystycznej Kazimierz Strzelbicki w opowiadaniu p. t.: *Blichtr*. Zdaje się, że i jemu jak i jego bohaterowi snują się w *wyobraźni* żywe figury, ale gdy przychodzi utrwalić je zapomocą słowa pisanego, nagle sztywnieją, że nie powiem, martwieją. Parę scenek nakreślił z życiem, lecz tam, gdzie zamierzał wprowadzić postaci oryginalne, wygłaszające jakieś nowe hasła, czy nowe paradoksy, zabrakło mu werwy i wyrazistości.

Zakończę to sprawozdanie wzmianką o powieści, napisanej przez księdza, lecz wolnej od zapachu zakrystyi. Mówię tu o *Esterze* X. Bolesława (Bronisława) Maryańskiego. Jest w niej rzeczywisty talent powieściopisarski, niewyrobiony jeszcze, posługujący się niekiedy szablonowemi figurami, nie zawsze umiejący motywować czyny swoich osobistości, ale posiadający dużo plastyki, dużo żwawości i władający piórem dzielnie. Za temat posłużyła autorowi opowieść biblijna o Esterze i Hamanie, o niewoli żydów w państwie medo perskiem za Ahaszwerosza, którego autor utożsamia z Cyaksaresem. Oczytanie w literaturze odnoszącej się do historyi żydowskiej, asyryjsko-babilońskiej i medo-perskiej, znajomość języka hebrajskiego, zamiłowanie do muzyki, pozwoliło talentowi X. Maryańskiego osnuć na owem tle opowiadanie zajmujące, w wielu ustępach bardzo żywotne (nawet na dzisiaj), niekiedy powabne.

P. Chmielowski.

Z POSTĘPÓW PRZYRODOZNAWSTWA.

TEORYA JONÓW I ELEKTRONÓW.

Słownik wyrazów naukowych coraz się mnoży, bezustannie bowiem przybywają nowe pojęcia i rzeczy nowe. Z pomiędzy całego tłumu tych wyrazów dorabianych, często potrzebnych, ale niekiedy też zbytecznych, niektóre dorastają szczególnej potęgi, zyskują rozgłos powszechny, nabierają znaczenia doniosłego, jakby w nich streszczało się najwybitniejsze zadanie ponownej doby w rozwoju nauki. Całe okresy jej dziejów możnaby tytułować wyrazami takiemi, jak ciążenie Newtona, gaz Van-Helmonta, energia Rankine'a. Obecnie w ten sposób nad poziom powszedni wynurza się «jon»; rozpostarł się w całych działach chemii i fizyki,

przenika do fizyologii a budzi zaciekawienie wszystkich, których sprawy nauki obchodzą. Poświęcimy mu chwilę uwagi, choć obraz nasz pobieżnemi rysami jedynie szkicować tu możemy.

Jon nie jest to zresztą bynajmniej termin zupełnie nowy; wprowadził go Faraday 1834 r. w siódmej seryi pamiętnych swych badań elektrycznych: *Experimental Researches in Electricity.* Zdumiewający ten człowiek, z pośród samouków najgenialniejszy, a z eksperymentatorów największy, również obficie, jak doświadczenia, rozrzucał i pomysły, które dotąd naukę użyźniają i stały się dla niej wytycznymi. Z pomysłów Faradaya wyrosła teorya elektromagnetyczna światła i wiążąca się z nią teraz teorya jonów. Jony owe zrodziły się z elektrolizy, dlatego wypada nam do tego ich początku sięgnąć.

Chemia związała się wcześnie z elektrycznością, już bowiem w 1800 r., gdy zatem ledwie stos galwaniczny zbudowany został, i gdy sama chemia ledwie co na pewnych fundamentach zdołała się ugruntować, dostrzegł Carlisle, że pod działaniem prądu galwanicznego woda ulega rozkładowi na gazowe swe pierwiastki, przyczem tlen gromadzi się przy biegunie dodatnim stosu, wodór zaś przy ujemnym. W tymże samym jeszcze roku poznano, że i inne ciecze podobnemu ulegają losowi, a roztwory soli rozrywają się pod działaniem prądu na kwasy i zasady. Ze szczególnem zwłaszcza powodzeniem prowadził badania te Humphrey Davy, a potęgę chemiczną galwanizmu wykazał w sposób uderzający, gdy w r. 1807, działaniem stosu ze stu ogniw zbudowanego, zdołał rozłożyć potaż i sodę, a w roku nastęnym nadto barytę i wapno, wydobywając utajone w nich, nieznane jeszcze metale. Stos galwaniczny stał się odtąd łącznikiem między fizyką a chemią; starą gałąź wiedzy zespolił z latoroślą nową. Elektryczność i powinowactwo chemiczne nie mogły już istnieć w pojęciach, jako objawy odrębne, jako zgoła różne między sobą siły natury; należało im przyznać pewną wspólność. Rozumiał to więc Davy w ten sposób, że przyciągania elektryczne i chemiczne przez jednę powodowane są przyczynę, która wszakże w pierwszym razie działa między masami całemi, a w drugim między ich atomami tylko. Pogląd ten wydał się wówczas dosyć zadawalniającym, by zjednać autorowi wielką nagrodę instytutu francuskiego, ustanowioną przez Napoleona za najlepsze doświadczenia z płynem galwanicznym.

Trudniejszą jeszcze do rozstrzygnięcia zagadkę nastręczała

osobliwa wędrówka pierwiastków i w ogólności ciał, wydzielających się pod wpływem rozkładu elektrolitycznego. Gdy prąd galwaniczny przez wodę przebiega, tlen i wodór nie wywiązują się na całym jego przebiegu, ale każdy z tych gazów skupia się oddzielnie, u właściwego sobie bieguna, jeden zdala od drugiego. Wydawało się to zgoła niezrozumiałem, ale już w r. 1805 zadawalniające wyjaśnienie podał Grotthus. Według tłumaczenia tego cząstki wody pod wpływem prądu galwanicznego układają się, porządkują, obracają i rozrywają tak, że atomy wodoru dążą do pociągającego je bieguna ujemnego, atomy zaś tlenu do dodatniego, ale w biegu tym napotykają się nawzajem, chwytają i łączą znowu w cząsteczki wody; oswobodzić się więc mogą krańcowe tylko atomy całego szeregu cząsteczek, a proces ten wciąż się powtarza, dopóki prąd przebiega. Toż samo dzieje się z rozkładem innych substancyj; wędrówka części składowych jest pozorna tylko, albo raczej jest to proces wewnętrzny, utajony, którego rezultaty jedynie dostrzedz się dają na krańcach.

Pierwotne pomysły Davy'ego i Grotthusa stały się podstawą dalszych teoryj elektrochemicznych, które musiały się naginać do coraz większej obfitości i zawiłości faktów poznawanych. Berzelius powiązał ściśle dwoistość elektryczności z dualizmem związków chemicznych i rozdzielił ogół pierwiastków na dwie kategorye, na pierwiastki *elektro-dodatnie* i *elektro-ujemne*, jakby jedne w stanie wolnym posiadać miały swobodny ładunek dodatni, drugie zaś ujemny; łączenia się i rozkłady chemiczne można było według tego pojmować, jako następstwa przyciągań elektrycznych, tem łatwiej, że Berzelius różnym pierwiastkom, albo raczej ich atomom, przypisywał niejednakie ładunki elektryczne, a od wielkości takiego ładunku zależy dzielność chemiczna. Berzeliusowi szło wszakże głównie o uzasadnienie dualizmu w całym obszarze chemii, a poglądów swoich nie starał się bynajmniej poprzeć pomiarami elektrycznemi, dlatego też z jego teoryi elektrochemicznej niewiele ocalało, gdy Faraday działania elektryczne i chemiczne ilościowo ze sobą zestawił. Przekonał się wtedy, że gdy woda poddana zostaje wpływowi prądu galwanicznego, to ilość jej ulegająca rozkładowi jest zawsze proporcynalna do ilości elektryczności przepływającej; gdy zaś porównał rozkłady różnych substancyj czyli różnych elektrolitów, okazało się, że *jednakie ilości elektryczności wydzielają zawsze równoważne chemicznie ilości części składowych.*

Przenoszenie się więc elektryczności w elektrolitach od je-

dnego bieguna czyli od jednego elektrodu do drugiego, związane jest z przenoszeniem się produktów rozkładu; wydobywające się ze związków atomy i rodniki posiadają ładunki elektryczne, a tak elektrycznie naładowany atom, czy też cząsteczka ciała, jest to właśnie *jon* według nomenklatury Faradaya. Ładunek elektryczny, który ze sobą jon taki unosi, nie zależy bynajmniej od natury rodnika, od jego dzielności chemicznej; potas lub fluor są to pierwiastki wywierające bardzo żywe działanie chemiczne, srebro lub jod działają słabo zaledwie, niemniej jednak dodatni jon potasu równie silnie jest naładowany elektrycznością, jak dodatni jon srebra, a ujemny jon fluoru posiada ładunek taki sam, jak ujemny jon jodu. Stopień więc działalności chemicznej nie zawisł bynajmniej od wielkości ładunku elektrycznego, ale od wytrzymałości, od mocy, jaką ładunek ten jest związany, a dlatego to jodek srebra już przez słabą siłę elektrowzbudzającą rozszczepia się na swe pierwiastki składowe, gdy fluorek potasu rozpaść się może dopiero pod wpływem nader znacznej podniety elektrycznej.

Dodać tu jeszcze należy, że powyższa równość ładunków tyczy się jedynie pierwiastków jednowartościowych, to jest pierwiastków, których pojedyncze atomy wiążą się z jednym atomem wodoru; pierwiastki dwuwartościowe lub trójwartościowe, których każdy atom łączy się z dwoma lub trzema atomami wodoru, utrzymują też ładunek elektryczny dwukrotnie lub trzykrotnie większy, aniżeli atomy jednowartościowe.

Znajomość nasza jonów, zyskała znaczne uzupełnienie i rozwinęła się dalej w następstwie badań nad roztworami, przeprowadzonych przez Van t'Hoffa, Arheniusa, Hittorfa i innych. Nie możemy zbyt odbiegać od wątku naszej rzeczy, ani opowiadania naszego zbyt rozszerzać, przytoczymy więc tylko, że według dzisiejszej teoryi roztworów, cząsteczki soli lub jakkiejkolwiek innej zresztą substancyi, rozpuszczonej w wodzie, nie czekają dopiero prądu, by się rozszczepiać na składowe swe części czyli na jony, ale jony te i bez udziału prądu obficie w roztworach istnieją. Swobodne pierwiastki i rodniki nie są wprawdzie w zwykłych warunkach elektrycznie naładowane, jak przyjmował Berzelius, ale gdy cząsteczka związku ulega rozkładowi, rozszczepia się w pewnych okolicznościach na jony, przyczem rodniki dodatnie naładowane są dodatnio, a rodniki ujemne posiadają ładunek ujemny. Cząsteczki soli rozpuszczonej nie są już w równowadze tak statecznej, w jakiej się znajdowały, dopóki sól była stała, skrysta-

lizowana; rozproszone w cieczy cząstki te po części rozpadają się i wymieniają między sobą swe jony, które odbiegają wciąż od jednych i wiążą się z innemi, skąd w każdej chwili znajduje się w roztworze pewna ilość cząstek rozszczepionych, a tem samem odpowiednia im ilość jonów swobodnych, ilość zależna od temperatury, od stopnia rozcieńczenia roztworu, od samej jego natury wreszcie. Bezładne ruchy tych jonów miotających się swobodnie między cząsteczkami, porządkuje się natychmiast, skoro prąd elektryczny przez ciecz przebiega; jony przenoszą ładunek elektryczny po drodze, przez bieg prądu wskazanej, stają się same ruchliwemi przewodnikami elektryczności. Prąd elektryczny nie rozrywa cząsteczek, ale nadaje tylko kierunek rozszczepionym ich składnikom.

Pogląd ten na istotę roztworów odbiega znacznie od powszednich naszych wyobrażeń i łatwo budzić może nieufność. Według tego bowiem w najzwyklejszym roztworze soli kuchennej, która jest chlorkiem sodu, występować mają swobodnie jony sodu i również swobodnie jony chloru, a wszakże sod ten nie sprowadza rozkładu wody, ani też chlor nie barwi jej na zielono i nie rozpościera drażniącej swej woni. Na zarzut ten wszakże odpowiedzieć trzeba, że co wiemy o własnościach sodu i chloru, innych pierwiastków i wszelkich ciał w ogólności, tyczy się ich cząsteczek, albo raczej skupień tych cząsteczek, własności zaś jonów swobodnych, są nam zgoła nieznane; nie są to przecież same cząsteczki ciał, ani ich skupienia, ale atomy ładunkiem elektrycznym obdarzone, z ładunkiem elektrycznym związane. W bryłce soli kuchennej nikną charakterystyczne własności chloru i sodu, a podobnież i w jonach utajają się własności atomów i cząsteczek; są to już pewnego rodzaju związki atomów materyalnych z elektrycznością.

Myśl o związkach materyi zwykłej z elektrycznością prowadzi dalej do wniosków bardziej jeszcze uderzających, skoro przypomnimy sobie, jakie znaczenie mają atomy według pojęć chemicznych. Trzeba się było do nich odwołać, gdy poznano, że ciała łączyć się mogą w związki, jedynie w stosunkach stałecznych, dających się ściśle wyrazić liczebnie. Zasadnicze to prawo natury, obejmujące nieprzejrzany obszar objawów chemicznych, bez pojęcia atomów byłoby dla nas zupełnie zagadkowem, w teoryi zaś atomistycznej okazuje się zupełnie zrozumiałem, narzuca się nawet, jako konieczne jej następstwo.

Takież same wszakże prawo stosunków statecznych i wielokrotnych poznaliśmy co do związków materyi zwykłej z elektrycznością, podobnież więc, jak mówimy o atomach materyalnych, nasuwa się nam i «atom elektryczny», gdy bowiem wyobrażamy sobie elektryczność podzieloną na oddzielne atomy wielkości niezmiennej, pojmujemy, dlaczego rozmaite pierwiastki wiążą oznaczone i stateczne ilości elektryczności, co byłoby niezrozumiałem, gdybyśmy wyobrażali sobie elektryczność rozpostartą w sposób ciągły.

Takim atomom elektrycznym, których pomysł po raz pierwszy rzucił Helmholtz w r. 1881, nadał Stoney w r. 1891 nazwę *elektronów.* Oprócz więc zwykłych pierwiastków chemicznych, przyjąć według tego należy dwa jeszcze pierwiastki dalsze, utworzone z elektronów dodatnich i ujemnych, które znamy wprawdzie tylko, gdy w połączeniu z atomami materyalnemi, jako jony występują, ale którym też zdolności istnienia swobodnego odmówić nie możemy. Gdy w cieczy rozkładowi elektrolitycznemu poddanej wędrujące jony dobiegają do biegunów czyli elektrodów, oddają im swoje ładunki elektryczne i wydzielają się jako atomy obojętne; przebieg ten, jakkolwiek szybki, nie dokonywa się przecież nagle, choćby więc przez chwilę nader krótką, elektrony mają tu byt samodzielny. Dają się wszakże wyszukać i w innych objawach.

Obok tak uzasadnionych bowiem chemicznie jonów i elektronów, nie mogła przejść obojętnie fizyka; jeżeli obecność swą zdradzają przy procesach chemicznych, nie mogą ograniczać się do tej tylko dziedziny, ale winny istnienie swe i na innych drogach ujawnić, winniśmy je wykryć i w innych działaniach elektrycznych. Rzeczywiście też przed bacznem poszukiwaniem fizyków utaić się nie zdołały.

Możemy je przedewszystkiem rozpoznać w przewodnictwie elektrycznem gazów. Gazy w warunkach normalnych nie są wprawdzie dobremi przewodnikami elektryczności, przewodnictwo ich wszakże wzmaga się, gdy są silnie ogrzane, lub też wystawione na działanie promieni pozafjoletowych, a występujące przytem objawy dają się dobrze wyjaśnić, jedynie przypuszczeniem, że elektryczność przenoszą w gazach cząstki wędrujące, podobnie jak jony w elektrolitach, jakkolwiek cały przebieg nieco się tu inaczej dokonywa. Z pewnych różnic w zachowaniu się cząsteczek dodatnio i ujemnie naelektryzowanych, wnosi J. J. Thomson, że cząstki ujemne są to elektrony swobodne, gdy ładunki dodatnie

pozostają związane z atomami gazów. Taki atom naładowany dodatnio wraz z elektronem ujemnym tworzą obojętną cząsteczkę gazową.

Wyraźniej jednak występują te elektrony ujemne w słynnych promieniach katodalnych, które powstają, gdy wyładowanie elektryczne ma miejsce w gazach do wysokiego stopnia rozrzedzonych. Do doświadczeń tych służą najdogodniej rurki Geisslera, czyli naczynia szklanne rozmaitej postaci, dla urozmaicenia zjawisk często w osobliwy sposób skręcone, które w dwu końcach, lub w jakichkolwiek innych punktach swych ścian, posiadają szczelnie wtopione dwa druciki czyli elektrody platynowe albo glinowe, do doprowadzania prądu służące. Gdy taka rura Geisslera połączona zostaje z biegunami machiny elektrycznej lub cewy indukcyjnej, przebiegają przez nią wyładowania elektryczne, których objawy zależą od stopnia rozrzedzenia w niej powietrza. Przy pewnem, daleko już posuniętem rozrzedzeniu, nikną znane powszechnie, wspaniałe objawy świetlne, a z elektrodu ujemnego, czyli z kadotu, wybiegają promienie, od tego pochodzenia swego zwane promieniami katodalnemi, które obecność swą zdradzają tem, że w uderzanych przez nie punktach ściany rury szklanej wywołują jej świecenie, fosforescencyą czyli raczej fluorescencyą, przyczem barwa tak wzbudzonego światła zależy od chemicznego składu szkła. Promienie katodalne ulegają wpływowi magnesów, wywierają też pewne działania mechaniczne i cieplikowe, jeżeli zaś objawów tych nie dostrzegamy przy słabszem rozrzedzeniu gazu w rurce, tłomaczy się to tem, że łatwo ulegają pochłanianiu, przy nieco gęstszem przeto powietrzu w rurce, przebieg ich ograniczony jest do bezpośredniego sąsiedztwa kadotu.

Doświadczenia z promieniami katodalnemi miały przed dwudziestu laty rozgłos znaczny, ale niemniej głośną była i teorya, którą Crookes starał się zjawiska te wytłomaczyć. Przyjął on, mianowicie, że objawy fosforescencyi wzniecane są przez bezpośrednie uderzanie, jakby przez bombardowanie cząsteczek materyalnych, które są od kadotu odrzucane czyli odpychane i w przestrzeni gazami rozrzedzonemi zajętej, biegną po drogach prostolinijnych.

Według hypotezy Crookes'a, w rozrzedzeniu tak znacznem, materya nie jest gazem zwykłym, ale pozostaje w pewnym stanie ultragazowym, który obok stanu stałego, ciekłego i lotnego, tworzy jeszcze dalszy, czwarty stan skupienia, a dla prostolinijnego

właśnie rozchodzenia się cząsteczek oznaczył Crookes stan ten nazwą *materyi promienistej*. Wyobrażał sobie, że rozproszone cząstki takiej materyi elektryzują się przez zetknięcie z kadotem i odbiegają od niego w taki sposób, jak odskakują kulki rdzenia bzowego od naelektryzowanej płyty metalowej. Domysł ten ukazał się wprawdzie nieuzasadnionym, ale natomiast zdać można sprawę ze wszystkich szczegółów zjawiska, jeżeli promienie katodalne uważać będziemy, jako złożone z naładowanych elektrycznie cząsteczek niesłychanie drobnych, mniejszych aniżeli atomy materyi zwykłej, a wybiegających z katodu. W cząsteczkach tych odnajdujemy elektrony, ale teraz poznajemy je bliżej, różne bowiem objawy promieni katodalnych zdołano poddać pomiarom ścisłym i oznaczono liczebnie wielkość ładunku elektrycznego, jaki cząsteczka taka z sobą unosi, przez porównanie zaś z zachowaniem się atomów zwykłych oceniono, że z ładunkiem tym związana masa wynosi zaledwie jakąś dwutysiączną część atomu wodoru. Masa tak drobna uchodzi poszukiwaniom chemika, liczebny ten jednak rezultat potwierdziło badanie innych jeszcze objawów. Czy zresztą w swobodnym elektronie mamy do czynienia z masą w pospolitem tego słowa znaczeniu, z drobniutką cząstką materyi zwykłej, czy też zdradza się tu tylko pewne działanie elektryczne, nie jest to pytanie rozstrzygnięte. Nadto wnioski te tyczą się elektronów ujemnych jedynie; elektronów dodatnich na swobodzie nie ujęto.

Sprowadzenie takie promieni katodalnych do ruchu elektronów swobodnych otwiera teraz drogę do wniosków dalszych. Z promieni katodalnych przecież rodzą się te osobliwe *promienie Röntgena*, których odkrycie przed kilku laty tak powszechny podziw wzbudziło, a które dotąd są przedmiotem zaciekawienia ogólnego. Skoro są to pochodne promieni katodalnych, jednaką drogą wyjaśnione być muszą. Rzeczywiście, pojmować można, że elektrony tak szybko biegnące, gdy uderzają o ciało stałe, wzniecają falę elektryczną i rozsyłają ją w przestrzeń, jak pocisk uderzający o ciało wytwarza falę głosową w powietrzu; z hypotezą taką własności promieni Röntgena dają się dobrze pogodzić.

Na korzyść nowej teoryi elektronów przytoczyć też można, że sprowadzają jednolitość objawów, które dotąd zgoła się odrębnemi wydawały. Tak, w szczególności, przewodnictwo elektryczności w metalach odróżniano stanowczo od przenoszenia się jej

w elektrolitach (cieczach), w których, jak widzieliśmy, dokonywa się przez bieg jonów. Sprzeczność wszakże tego dwojakiego przewodnictwa ustępuje, gdy się do elektronów odwołamy. Skoro w promieniach katodalnych elektrony wybiegają z powierzchni katodów od biegunów metalowych, to już i wewnątrz metali posuwać się muszą ku ich powierzchni i w ten sposób sprawę przewodzenia elektryczności załatwiają. Poddany dochodzeniu matematycznemu i ten pomysł doprowadził istotnie do wniosków, dających się potwierdzić doświadczalnie.

Poznaliśmy udział elektronów w objawach chemicznych i elektrycznych, ale rozpostarły się już dalej i wtargnęły także do dziedziny światła. Jest to już zresztą następstwo konieczne poglądów dzisiejszych na istotę światła, według których drgania świetlne są rezultatem zakłóceń elektromagnetycznych, są tylko pewną kategoryą fal elektrycznych. Teorya jednak elektromagnetyczna światła nie naginała się dobrze do objawów, które zachodzą, gdy fala świetlna przedziera się przez ciała przezroczyste a w szczególności trudno jej było objąć rozszczepianie się światła na promienie różnobarwne,

Trudności te ustępują, jeżeli przyjmiemy w ciałach przezroczystych istnienie swobodnych, ruchomych ładunków elektrycznych, zatem elektronów takich samych, jakie wykryliśmy już w cieczach, gazach i metalach; na zjawiska optyczne, podobnie jak na objawy elektryczne, ciało materyalne wywiera wpływ jedynie za pośrednictwem elektronów, jakie zawiera; fala świetlna, wdzierająca się do ciała przezroczystego, działa na drgania tych elektronów i sama pod ich wpływem przeobrażeń doznaje. Na tej drodze nietylko objawy rozszczepiania promieni dały się wyjaśnić zgodnie z zasadami teoryi elektromagnetycznej światła, ale ujęto też wpływ, jaki ruch ciała przezroczystego wywiera na bieg przedzierającego się przez nie promienia światła, co dotąd ciężki szkopuł w optyce stanowiło. Dalszy jeszcze tryumf teorya ta odniosła przez wyjaśnienie odkrytego w r. 1896 przez Zeemana osobliwego zjawiska, polegającego na tem, że pod wpływem magnesu linie widmowe gazów płonących ulegają rozszczepieniu na smugi podwójne i potrójne.

I inna też jeszcze kategorya zjawisk niedawno poznanych wiąże się niewątpliwie z teoryą elektronów. Mówimy tu o promieniach odkrytych przez Becquerela, promieniach bez żadnej zgoła podniety zewnętrznej wysyłanym przez pewną grupę ciał, którym

dano nazwę *ciał promieniotwórczych*. Znajomość tych ciał zawdzięczamy głównie wytrwałym badaniom pani Skłodowskiej-Curie i jej męża p. Curie. Własnościami swemi promienie Becquerela zbliżają się znacznie do promieni katodalnych, można je więc także za bezpośredni objaw elektronów uważać. Ciała promieniotwórcze byłyby według tego grupą związków chemicznych, które posiadają własność rozsyłania elektronów swobodnych, niezależnie od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych. Zbyt jednak niedostatecznie jeszcze ciała te i promienie ich znamy, by naturę ich już teraz rozważać można było.

W jakiej łączności pozostają wreszcie elektrony te, czyli atomy elektryczne, z eterem wypełniającym przestrzeń światową, jakie przypada im znaczenie w ogólnej budowie materyi, dziś nie wiemy jeszcze; jakakolwiek jednak czeka je przyszłość, przyznać musimy, że już teraz rozszerzyły i pogłębiły znacznie znajomość naszę zjawisk otaczającego nas świata.

Stanisław Kramsztyk.

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO WARSZAWY.

LORNETKI MYŚLOWE.

Mieliśmy w beletrystyce miłość, wschody i zachody słońca, aż przyszli pisarze, którzy wymietli z beletrystyki miłość wraz z wschodami i zachodami słońca, a natomiast dali zagadnienia społeczne, orzekając, iż odtąd w ten a nie inny sposób pisać się będzie.

Aż po nich przyszli pisarze, którzy zawołali, że zagadnienia społeczne to tendencya, z którą sztuka parać się nie powinna; wymietli tedy ze swych ksiąg społeczne zagadnienia i dali stany psychiczne, orzekając, iż odtąd w ten a nie inny sposób pisać się będzie.

Ale w tych stanach psychicznych pojawiła się znowu miłość, błysnęły wschody i zachody słońca, zadźwięczały pewne problematy społeczne, aż wreszcie wychyliła swoję wężową głowę tendencya.

Cóż to jest tendencya w sztuce? Kiedy możemy ją wytknąć autorom?

Tendencya w sztuce bywa utylitaryzmem, szlachetnym lub

nieszlachetnym. Jest to także wysunięcie jakiejś tezy na pierwszy plan, której z łatwością da się przeciwstawić twierdzenie przeczące.

Ale dola lub niedola życiowa doprowadza często ludzi do tendencyjnego światopoglądu. Patrzą tedy na życie przez jakieś myślowe lornetki i widzą wszystko inaczej. Nie jest to spojrzenie geniuszu, bo geniusz w patrzeniu wyprzedza tylko świat mu współczesny. Jest to patrzenie zboczone, a świat nigdy nie będzie mógł tak widzieć.

Ostatnia fala piśmiennictwa pięknego wyrzuciła na ławice księgarskie następującą fabułę dramatyczną:

Osoby: Mąż, Żona i On.

Akt 1. Wierność małżeńska, zastanawiająca nawet interesowanych.

Akt. 2. Zjawia się On i uwodzi Żonę bez szczególnych trudności.

Akt. 3. Żona dostaje wyrzutów sumienia. Dom jest ołtarzem Męża, a ona ten ołtarz skalała. Co pocznie? Mąż dowie się, to go złamie. Żona przypomina sobie, że ma w pierścieniu truciznę. Więc się otruje. Nie, tego zrobić nie może. Skrzywdziłaby Męża podwójnie, najpierw wiarołomstwem a następnie skandalicznem samobójstwem. Nagle wpada na pomysł. Hej, szampana! Wsypuje proszek do szklanicy Męża, ten pije, umiera i zasłona spada.

Takie zakończenie sztuki jest twierdzeniem albo, 1) że się tak dzieje, albo 2) że się tak dziać powinno, albo 3) że jest to psychologia tego, co się dzieje lub dziać powinno.

Na wszystkie trzy pytania odpowiadamy kategorycznie: nieprawda.

Gdyby się tak działo, to bohaterka musiałaby być albo zbrodniarką, albo waryatką, co z rysunku tej postaci bynajmniej nie wynika.

Gdyby się tak dziać powinno, to autorka, apostołująca trucicielstwo, musiałaby być zbrodniarką lub waryatką, co znowu z całej książki bynajmniej nie wynika.

Gdybyby to zaś miała być psychologia tego, co się dzieje lub dziać może, to należałoby po akcie trzecim nietylko dramatu nie kończyć, ale dopiero go rozpocząć.

Więc otrucie męża wyczerpuje zagadnienie? Więc żona, która po skalaniu «ołtarza» rozpacza, otruwszy człowieka, przewinęła przed naszemi oczami już wszystkie karty swej duszy?

Otruła — i nic? Sprawa skończona, idziemy spać?

Lady Makbet zabiła. Ha, w tym małym człowieczku było tyle krwi... Myje ręce, ciągle myje ręce... Domyć się ich nie może... Zaczyna przez sen chodzić po komnatach i myć ręce...

Ale Szekspir został przez nową szkołę uznany za fuszera. Nowa szkoła bada drgnienia duszy, drgnienia najbardziej tajemne, ukryte. A w tym wypadku? Kończy się na efekcie fabulistycznym, kończy tak, jak w całem piśmiennictwie współczesnem to potępia, wyrzucając psychologię po za rampę sceny.

A czyni to tendencyjnie.

Sprawy seksualne są wedle niej alfą i omegą zawikłań życiowych. Każdemu osobnikowi przysługuje prawo dążenia do zdobyczy płciowych *per fas et nefas*; zrywa *cichym sposobem* ugodę społeczną, która to prawo ujęła dla wspólnego bezpieczeństwa w pewne karby. Trzeba istotnie patrzeć na życie przez jakąś lornetkę myślową, aby bodaj na chwilę przypuścić, że ludzkość zechce pod tym względem cofnąć się wstecz o kilka tysięcy lat, kiedy to przy pomocy kamieni i maczug odbywały się swaty.

Powiedzieliśmy: nowa szkoła. To nie znaczy: nowe piśmiennictwo. Wyspiański wyparł się jej w *Weselu;* każde dzieło jego świadczy, iż nie ma on nic wspólnego z tą tak zwaną «nową szkołą» lornetek myślowych, często gęsto bardzo teatralnych.

Nie jest to również modernizm, tylko chyba zabawy ciurów tego obozu. Kto nie chce na rzeczy patrzeć oczyma wszystkich, a nie jest w stanie, jak geniusz, sięgnąć po za horyzont przeciętniaków, ten sprowadza sobie choćby od Peladana lornetkę myślową, by widzieć w jakiś sposób inaczej.

Andrzej Niemojewski.

Z ŻYCIA UMYSŁOWEGO KRAKOWA.

Czytelnik zapewne ze zdumieniem zapyta: czy jest w Krakowie coś takiego, jak życie umysłowe? Krakowiacy jego nie widzą — i doskonale bez niego się obchodzą. Takiej potrzeby u nas nie ma; jest to jakiś «tromtadracki» wymysł... Co innego Hawełka lub Klimek [1]): bez tychby Kraków istnieć nie potrafił. Ale jeśli niema u nas życia umysłowego, jeżeli nie odczuwamy nawet jego potrzeby, to nie bez tego, aby od czasu do czasu nie było spo a-

[1]) Restauracye.

dycznych objawów umysłowych. Bo przecież i w Krakowie zdarzają się ludzie, którzy nad czemś myślą, coś czują i od czasu do czasu w ten lub ów sposób wyjawiają to na zewnątrz — chociaż nikt ich zwykle nie słucha. Nie stwarza to zapewne życia umysłowego, bo życie umysłowe może istnieć tam jedynie, gdzie jest wrażliwy na objawy umysłowe ogół, gdzie objawy te szerzą się falą, spotykają się i syntetyzują w duszy zbiorowej tego ogółu lub przynajmniej znajdują w niej oddźwięk; a Kraków — to miasto bez echa... na objawy umysłowe rozumie się; no, bo ploteczki rozbrzmiewają tu naturalnie bardzo echowo.

Więc tylko te objawy sporadyczne notować będziemy — sporadycznie, jak się pojawiają.

Zaczniemy od nowego towarzystwa, które przybyło do niemałej liczby dotychczas istniejących: **Sztuka polska stosowana**. Zadanie jego bardzo piękne: zbieranie i rozwijanie motywów dekoracyjnych i architektonicznych ludowych. Znamy też parę osób, które z wielkim zapałem oddają się gromadzeniu wzorów, a niebawem zapowiedziana jest ich wystawa. Cóż, kiedy jak i w innych towarzystwach krakowskich, jeśli coś się robi (co wogóle należy do wyjątków), to robią jednostki. Dla ogółu zaś członków, a zwykle są to we wszystkich towarzystwach jedne i też same osoby, założenie nowego stowarzyszenia jest sposobnością podpisania swego nazwiska, a rola ich ściąga się przeważnie do płacenia składki. Zwykle też tak bywa, że składkę bez oporu płacą przez pierwsze dwa, trzy miesiące, później opędzają się od «kursora», jak mogą, a wreszcie wykreślają się ze stowarzyszenia. Oby taki los nie spotkał młodego towarzystwa: szczerze mu innego życzymy ze względu na sympatyczny i doniosły cel.

Teatr nasz robi wszelkie wysiłki, aby utrzymać salę swą niezbyt próżną. Cóż kiedy zwykle, po 2—3 przedstawieniach sztuki, wyczerpuje się cały zasób miłośników Melpomeny, a to powoduje potrzebę ciągłej zmiany repertuaru, co bardzo utrudnia, rozumie się, położenie i bez tego nielicznej trupy. Wielką zasługą dyrekcyi obecnej jest wyprowadzenie na scenę całego szeregu arcydzieł literatury dramatycznej swojskiej i wszechświatowej, które bądź nigdy jeszcze sceny nie widziały, bądź bardzo dawno w Krakowie nie były grane, a nawet próby przystosowania do sceny rzeczy niepisanych dla teatru. Do pierwszych należą takie utwory,

jak Słowackiego: *Kordyan*, *Sen srebrny Salomei*, *Złota czaszka* (chociaż tylko fragment), *Ksiądz Marek*, które okazały się doskonale scenicznemi i znakomicie wzbogaciły repertuar arcydzieł. Niemniej pomyślnie wystawiono *Na Ukrainie* Sowińskiego. Z arcydzieł wszechświatowych z powodzeniem powtarza się od czasu do czasu *Faust* Göthego (I część). Z mniejszem już powodzeniem, jeśli mowa o całości, przystosowane zostały do sceny *Dziady* Mickiewiczowskie, chociaż i tu pojedyncze akta (a mianowicie z III-ciej części) okazały się pełnemi życia scenicznego. Niefortunny epilog, dorobiony całkowicie, a rażąco różniący się od całości radzilibyśmy odrzucić. Wreszcie i powieści p. Sienkiewicza dostarczyły materyału scenicznego: epizod w *Czartowym Jarze* z *Ogniem i mieczem* i *Krzyżacy*.

Wśród utworów młodszych poetów, wdzięcznym materyałem okazał się *Cudotwórca* p. Feldmana. *Wesele* p. Wyspiańskiego, trzyma się na scenie, powtarzane z pewnemi odstępami, dzięki kilku efektownym momentom i tematowi, chociaż całość przy braku akcyi i dziwacznie rubasznej formie jest raczej nużąca.— Pożałować należy, że nie próbują utrzymać na scenie tak pięknej rzeczy, jak *Bunt Napierskiego* p. Kasprowicza, oraz że dotąd nie widzieliśmy w teatrze żadnego z dramatów p. Niemojewskiego.

Akademia Umiejętności w Krakowie, «pragnąc ożywić wśród naszego społeczeństwa znajomość starożytnego świata, uchwaliła na zebraniu walnem przystąpić do wydawnictwa przekładów autorów starożytnych».

Zdawałoby się, że społeczeństwo nasze ma tak dobrze zaopatrzone potrzeby umysłowe, iż nic mu nie pozostaje, jak bawić się «autorami starożytnymi»! [1])

Ze słusznem też oburzeniem woła na to p. W. N. w «Głosie» (Nr 1, 1902), że gdy «brak nam dzieł na polu wszystkich nauk żyjących», gdy «pozostaliśmy w tyle za ruchem postępowym Zachodu, a uczeni nasi, którzyby pragnęli brakowi temu zaradzić, nie znajdują wydawców, a nawet uginają się i łamią pod brzemieniem nędzy — w chwili takiej Akademia wynalazła środek

---

[1]) Czy nie byłoby np. właściwiej zamiast «starożytnych», wydać taką *Socyologią* L. Ward'a, której przekład dokonany przez ś. p. Józefa Potockiego i ocenzurowany już, od kilku lat spoczywa w rękopisie dla braku wydawców, lub *Mikrokosm* Lotzego, którego rękopis, pióra ś. p. Filipowicza złożono w naszej redakcyi — że wymienię tylko to, co się nawija pod rękę?

cudowny: ofiarą znacznych pieniędzy i sił ««ożywić» społeczeństwo, puszczając nań prąd powietrza — trupiego».

Kto wszakże nie wie, że Akademia jest instytucyą trupią? Że stroni od życia, że boi się go? O, bo życie czasem niemile parzy — jak dotknięcie pokrzywy. Jak tu np. zajmować się naszemi dziejami z przed stu lat? Nasi obecni «panowie» mają sumienie historyczne tak drażliwe... Bez porównania drażliwsze, niż było «aktualne» sumienie ich pradziadów, którzy trzymali się zasady «*non olet...*» Niechno historyk sprobuje odsłonić kartę z tej epoki, a spotka się z takiemi spojrzeniami bazyliszkowemi, które parzą gorzej od pokrzywy.

To też *uczeni* radzą sobie, jak mogą, z wydawaniem dzieł; Akademia zaś w pewnych gałęziach obchodzi się bez uczonych i radzi sobie także, jak może... tłumaczeniami klasyków. Wszak do tego wystarczy kupić słownik i znać trochę gramatyki... A przytem jest tu i chleb dla *bene merentibus!*

Otrzymujemy 1-szy zeszyt nowego dwutygodnika p. t.: „**Nowe Słowo**“. Początek jego poświęcony głównie przedmiotom związanym z kwestyą kobiecą. Dziwaczna winietka na karcie tytułowej i notatka (umieszczona wprawdzie na samym szarym końcu) p. t.: «Nowe prądy w sztuce», każą nam wszakże obawiać się, aby ta nowa próba nie stała się znowu (jak kilka poprzednich efemeryd krakowskich), polem rozczochranego debiutantyzmu dla tych, którzy tem głośniej chcą krzyczeć, im mniej mają do powiedzenia. Życzylibyśmy, aby tego uniknęła, a życzylibyśmy głównie w interesie poważnej kwestyi — ruchu kobiecego — której pismo to, jak sądzić można z kilku artykułów obecnego numeru, służyć zamierza. Bo jak z jednej strony wybryki niepoczytalności zdyskredytują samo pismo, tak znowuż niepodobna będzie pogodzić żądań wynikających z godności i praw kobiecych z zapatrywaniami czysto samczemi t. z. «modernizmu».

Nie nowym, bo już drugi rok rozpoczynającym wydawnictwem jest **Poradnik językowy**, poświęcony kwestyom związanym z czystością języka polskiego. Pismo to bardzo potrzebne i pożyteczne w Galicyi, gdzie nietylko język stale jest kaleczony w rozmowie i w dziennikach, ale każdy czuje powołanie do nowatorstwa w tym zakresie, przez co mowa zaśmieca się ustawicznie nowemi dziwolągami.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

— **„Biblioteka Warszawska“**. W zeszycie październikowym znajdujemy początek *Listów Krasińskiego* do Reeve'a, już poprzednio wyzyskanych dla artykułu *Poeta myśli*, teraz w całości przytoczonych, koniec ich w zeszycie listopadowym. W artykule *Żegluga napowietrzna* p. W. Zieliński zaznajamia z najnowszemi próbami w tym kierunku. Z wycieczek balonem ciekawy jest opis wzniesienia się Bersona, który dosięgnął wysokości 9150 metrów. Następnie opisane są w krótkości przyrządy latające: Lilienthala, Langleya, Richet'a i Tatin'a, Stenzla, Adera. Postęp w tym kierunku jest stały, chociaż rezultatów pozytywnych dotąd jeszcze nie ma. Ważną zdobyczą jest osiągnięte zredukowanie wagi motora do 7 funtów na konia parowego. — P. A. Brückner poświęca artykuł *Bogarodzicy*. Przychodzi on do wniosku, że pieśń ta była napisana dla królowej Kingi około 1400 r., t. j. tego, z jakiego datuje najdawniejszy odpis. Artykuł pełen ciekawych szczegółów i cennych uwag historycznych i filologicznych. — P. Darowski opisuje *Dwa dni w Pompei*, p. St. Zdziarski ustanawia *Chronologią młodocianych utworów Bohdana Zaleskiego*. D. c. *Pana Balcera* p. M. Konopnickiej i *Śladem tęsknoty* p. Konczyńskiego.

W listopadowym zeszycie zaznaczymy notatkę p. M. Loreta p. t.: *Między Jeną a Friedlandem* — opowieść o zamierzonym pod wpływem presyi prusko-rosyjskiej przystąpieniu do przymierza tych mocarstw Austryi, który to zamiar obróciła w niwecz porażka sprzymierzeńców pod Friedlandem. — P. J. Białokur poświęca artykuł *Sądom gminnym* (w Królestwie), wobec zamierzonej ich reformy, której projekt ogłosiło Ministeryum sprawiedliwości; omawia ich historyą, dotychczasową organizacyą i potrzeby. — P. Biegelejsen ogłasza nieznany szkic Szujskiego o *Kasprze Miaskowskim*, poecie XVII wieku, pisany przypuszczalnie około 1855 r. — P. St. Witkiewicz ciągnie dalej szkic o *Aleksandrze Gierymskim*, zakończony w zeszycie grudniowym.

Zeszyt grudniowy zaczyna rozprawa p. Kruczkiewicza o *Językach klasycznych w szkołach średnich;* kwestyą omawia szczegółowo, stając w obronie ich nauczania. — *Duch czasu,* dramat niewydany ś. p. Sewera Maciejowskiego (Akt I). — P. A. Plutyński poświęca szkic *stosunkom Rosyi do Austryi w przededniu kampanii galicyjskiej 1809 r.* W chwili gdy wojska austryackie wkroczyły do Księstwa Warszawskiego, na skutek wojny rozpoczętej pomiędzy Napoleonem a Austryą, Rosya związana była traktatami z obu przeciwnikami:

jawnymi (Tylżyckim i Erfurtskim) z Napoleonem; tajnym z Austryą. Gdy wojska Księstwa szybko owładnęły całą Galicyą, wojska rosyjskie stojąc na jej granicach miały rozkaz wyczekiwania i oszczędzania obu przeciwników. Daremnie domagał się rząd Księstwa należnej pomocy i również daremnie oczekiwał jej cesarz Austryacki, pozbywano ich wymijającemi odpowiedziami, oczekując biegu wypadków. Gdy przyszła wszakże wiadomość o groźnem położeniu Napoleona pod Aspern, armia rosyjska otrzymała rozkaz zajęcia części Galicyi, obejmującej około 1,200.000 ludności i utworzenia tam rządu cywilnego w imieniu cesarza Aleksandra. — Te są wypadki opowiedziane w tym szkicu na podstawie źródeł archiwalnych. — P. Tretiak daje charakterystykę na tle biograficznem *Ignacego Krasickiego*. — P. W. Bogusławski poświęca artykuł *Reformie teatrów warszawskich*. Wytrawny krytyk i znakomity znawca sceny, stawia pytanie, dlaczego opera, dramat i komedya reprezentowane w teatrach: Wielkim i Rozmaitości, przynoszą deficyt, kiedy farsa i operetka w teatrze Nowym dają wielkie korzyści. Zastanawiając się nad dziejami pierwszych dwóch teatrów w ostatnim czasie, przychodzi do wniosku, że niewłaściwe kierownictwo było przyczyną ich upadku. W operze mianowicie — przewaga włoskiego żywiołu i języka; w dramacie — brak właściwego literackiego kierownictwa, które powinno zastąpić czysto sceniczne, dotąd panujące.

— **„Krytyka“**, zeszyt styczniowy. Artykuł wstępny omawia *Sprawę ruską* (w Galicyi). Słusznie potępia autor obskurnie-hakatystyczną broszurkę, wydaną w Nowym Sączu p. t.: *Baczność polacy, głos w sprawie ruskiej*, głoszącą, «że tylko równy poziom kulturalny daje narodom równe prawa»; słusznie domaga się równouprawnienia bezwzględnego dla kultury i języka rusinów. Z samych faktów, które przytacza, nie widać wszakże, aby istniała pod tym względem istotna krzywda, więcej jest, zdaje się, nierozsądnych krzyków z obu stron. Pomimo przewagi liczebnej ludności polskiej w Galicyi, było np. w r. 1900 szkół ruskich 2136, polskich 2099; że wśród tych było więcej nieczynnych ruskich — tłumaczy się to brakiem nauczycieli. Wprawdzie polskich gimnazyów jest 28, ruskich tylko 4; ale ta różnica w szkolnictwie średniem nie powinna zadziwić nikogo, jeśli weźmiemy pod uwagę, że sam język ruski dopiero się kształtuje, że brak im podręczników, nauczycieli, uczniów. Słusznem rozumie się jest żądanie rusinów podniesienia tej liczby i żaden dobrze myślący polak nie powinien się temu sprzeciwiać. — P. Haecker omawia kilka objawów z *Nowszej literatury ekonomicznej w Niemczech*, przeważnie w związku z dziełem i przemówieniami Bernsteina.

— **„Przegląd Filozoficzny“**, zeszyt IV, 1901, poświęcony jest cały *określeniom filozofii* podanym przez naszych pracowników na tem polu: pp. Struvego, Straszewicza, Kozłowskiego, Heinricha i panią Kodisową. Każdy z autorów przedstawia swój pogląd na zadania dzisiejszej filozofii. Mniej wiąże się z całością obszerny artykuł X. Radziszewskiego p. t.: *Odrodzenie filozofii scholastycznej*, który przedstawia historyczny szkic scholastyki (nie bezzasadnie potępionej w swoim czasie przez humanizm), oraz próby jej odrodzenia przez współczesny katolicyzm wskutek encykliki Leona XIII. Przedstawia też autor, jak ten kierunek pojmuje istotę i cele filozofii.

— **„Kosmos“**, zeszyt VIII—X, 1901. Rozpoczyna go obszerne studyum p. Rudzkiego o *Plamach na słońcu*, zestawiające bardzo skrupulatnie najnowszą literaturę tego ciekawego przedmiotu. Pani Rozalia Nusbaumowa omawia *Teoryą dociekań naukowych*, biorąc pobudkę z pracyę p. Heinricha, który występuje jako krańcowy rzecznik Kirchhofowskiego poglądu, że nauka powinna tylko opisywać zjawiska. Autorka wykazuje na własnej pracy p. H., iż sam ustawicznie przekracza ten przepis. Sama doskonale streszcza istotny przebieg myśli ludzkiej w badaniu przyrody: «Z początku zwykle obserwują się zmiany i zjawiska w otoczeniu, myśl szuka związków pomiędzy różnorodnemi zjawiskami, nie starając się wcale zbadać ich istoty i sprowadzić do czegoś jednorodnego. Lecz gdy tych zbadanych zjawisk i związków jest już bardzo wiele, gdy powstaje z nich chaos, w którym myśl się błąka, wówczas zaczyna się szukanie nici przewodnich. Zrazu nici tych jest bardzo wiele, biegną niezależnie jedna od drugiej, obejmują różne pomiędzy sobą grupy zjawisk. Następnie w miarę postępu łączą się z sobą w coraz grubsze, obejmujące coraz większą ilość zjawisk. Różnych w istocie swej grup okazuje się coraz mniej. W końcu myślowe domieszki całego szeregu myślicieli skręcają owe nici w jednę, wiążącą wszystkie zjawiska świata. W dziejach zawsze ją spotykamy, nosi ona tylko rozmaite nazwy. Obecnie nazywa się mechanicznem, albo też energetycznem objaśnieniem świata. Dziś zaczęto ją już napowrót rozplątywać, okazuje się bowiem, że to, co ona tak silnie napozór wiązała ze sobą, jako coś jednorodnego, jest właściwie bardzo różnorodnem i związać w jedno się nie da. Jeżeli nić ta w przyszłości rozpadnie się zupełnie, to odwieczne wrzeciono na kołowrocie ziemi, myśl ludzka pomoże wkrótce uprząść i skręcić inną podobną».

— **„Slovanský Přehled“** w zeszycie styczniowym daje charakterystykę poety bułgarskiego *Konstantego Weliczkowa* pióra Władysława Šaka. Zajmuje on wybitne stanowisko nietylko przez prace literackie, ale i życiem swojem. «Apostoł nieszczęsnego a nierozważnego powstania w r. 1876 przebył, a po części przeniósł na sobie prześladowania. Z ideałów młodości wytworzył sobie świątynią najczystszej wiary w przyszłość swej ojczyzny, a marząc o tem, aby umrzeć na progu nowej epoki, dożył do doby, która się sprzeniewierzyła dawniejszym wysiłkom całego narodu, a surowo urąga wszelkim ideałom». — Urodzony w r. 1856 w Tatar-Pazardżiku był po ukończeniu studyów nauczycielem w rodzinnem mieście aż do czasów powstania. Jeszcze będąc studentem, oddawał się literaturze. Po osiągnięciu niepodległości Bułgaryi był czynny w polityce i jest nim do dziś dnia. Obecnie jest posłem do Zgromadzenia Narodowego. Dwa razy był ministrem oświaty (pierwszy raz pod nazwą «dyrektora» za czasów Rumelijskich) i raz ministrem kultu. Pomimo to zmuszony jest walczyć z ciężkimi warunkami ekonomicznemi w kraju, gdzie «najlepsza książka nie sprzedaje się więcej, niż w 500 egzemplarzach». Oprócz drobnych prac wydał dramata: *Newienka i Światosław* i *Haderol.* Z liryki *Sonety Carogrodzkie* i *V žaláři*, wspomnienia z ucisku. Prócz tego *Listy z Rzymu.* Wydaje *Letopisy* i przełożył *Piekło* Dantego.

— **„Česka Myl“**, dwumiesięcznik filozoficzny daje szkic *Chorwackiej literatury filozoficznej* pióra p. Ot. Kádnera. Pierwszym filozofem, piszącym rozumie się po łacinie, był Marko Marulicz (1450—1524), autor dzieła *De institutione*

bene beneateque vivendi, które miało 10 wydań oryginalnych, później zaś przełożone zostało na języki: włoski, francuski, hiszpański i niemiecki. Wielbicielem Arystotelesa był w XVI wieku Fr. Patricij. Z Dubrownika rodem był J. R. Boszkowicz (1711—1787) znany twórca odrębnego typu atomizmu. Pisal on także w zakresie matematyki, astronomii, fizyki, historyi, archeologii i poezyi. W rozprawie *De viribus vivis* (1745) doszedł do pojęcia atomu, podobnego do tego, jakie Kant później naszkicował w swojej *Monadologia physica* (1756), a w r. 1858 wydaje główne dzieło *Theoria philosophiae naturalis*, w którem pojęcie to obiera za podstawę pojmowania przyrody i poglądu na świat, zbliżając je do Leibnizowskiej monady. Odrodzenie narodowe na początku XIX stulecia kierowało twórczość na inne pola literatury. Dopiero po założeniu Akademii w r. 1867 i uniwersytetu w Zahrebie (1874) rozpoczął się ruch naukowy. Pierwszym z profesorów filozofii na uniwersytecie tym jest Fr. Markowicz (ur. 1845), który czynny był uprzednio jako poeta. Jako profesor oddał się przeważnie pracom krytycznym i estetycznym. W filozofii w ogóle reprezentuje kierunek Herbartowsko-Zimmermannowski. Młodszy kolega jego Dj. Arnold (ur. 1851) jest profesorem od r. 1894 również poeta; przebył wszakże poważne studya filozoficzne w Niemczech. Pierwszą pracą jego była *Etyka i powieść* (1879). Rozpoczął również od herbartyanizmu, ale śledzi pilnie za rozwojem nowszej filozofii, o czem świadczy jego *Logika i psychologia*. Obrany na rektora w r. 1899 w mowie wstępnej o *Filozofii, naukach przyrodniczych i socyologii* dzieli wiek XIX na trzy okresy: w pierwszym panuje aprioryzm pokantowski, w drugim przyrodoznawstwo, trzeci pod wpływem Comte'a przybiera charakter społeczny. Cała wiedza socyalizuje się. Też same znamiona okresów dają się wykryć i w belletrystyce (romantyzm, naturalizm, tendencya socyalna). — Z młodszych A. Tresicz Pawiczicz (ur. 1867) zajmuje się psychologią; Golik i Kuzmicz historyą filozofii; A. Bauer, profesor dogmatyki, neoscholastyk wydał *Teologią* (1892) i *Ontologią* (1894).

Z innych artykułów wymienimy p. Ol. Josek'a *O samozachowaniu w stosunkach międzynarodowych*.

— **„Die Religion der Menscheit“** (zeszyt IV, 1901), oprócz artykułów poświęconych popularyzacyi zasad pozytywizmu, omawia dzieło p. Nowikowa *La fédération de l'Europe*. Kilka myśli przytoczonych z tego dzieła, dadzą o nim pojęcie:

»Ludzkość powinna się przeobrazić zupełnie — powiada p. Nowikow. — Dotąd głównym jej celem był rabunek; odtąd będzie nim produkcya. Od chwili, gdy to nastąpi, federacya stanie się faktem, gdyż federacya nie jest niczem, jak tylko stosunkiem prawnym (poszanowaniem praw innych) zastępującym anarchię (panowanie siły)».

«Możliwe, iż federacya zostanie stworzona przez usiłowania wydziedziczonych tego świata. Nasyceni znajdują, że obecne położenie jest znośne; ale głodni nie są tego zdania».

Zaznaczymy jeszcze artykuły o *Reformie gruntowej* przez p. Engel'a; o *Etyce społecznej w Stanach Zjednoczonych* przez T. Minuth'a. — W kronice nadmienia p. Molenaar o epizodzie z p. Omańkowską w Poznaniu, potępiając rząd pruski za jego postępowanie względem polaków, «którzy mają zupełnie to samo prawo do pielęgnowania swego języka i narodowości swojej, jak i my, niemcy».

NOWE KSIĄŻKI.

Louis Büchner: *A l'aurore du siècle. Coup d'oeil d'un penseur sur le passé et l'avenir.* Version française par le Dr. L. Laloy. Paris, Schleicher frères, 1901.

Ernest Haeckel: *Les enigmes de l'Univers.* Traduit par Camille Bos. Paris, Schleicher frères, 1902.

Mamy przed sobą dwie książki, stanowiące niejako testamenta idejowe dwóch weteranów materyalizmu teoretycznego w Niemczech; dwóch, rzec można, głównych jego popularyzatorów, których imiona zrosły się z tym ruchem, należącym już po części do przeszłości.

Jeden z nich już zeszedł ze sceny, rzucając przed śmiercią ów *Rzut oka myśliciela*, zwrócony ku jutrzni nowego stulecia. Drugi jest już w wieku sędziwym, a w książce swojej zebrał i systematycznie zestawił poglądy swoje na wszystkie *Zagadki wszechświata*, dając w ten sposób syntetyczną całość poglądu na świat czysto przyrodniczego. Obaj bowiem wiążą ściśle poglądy swoje z wiedzą przyrodniczą, na której wyłącznie kształcili się, ignorując krytycyzm filozoficzny, a wszelkie próby określenia warunków i wartości poznania traktując jako «subtelności metafizyczne». Ale Büchner, który wystąpił wcześniej, opierał się więcej na hypotezach fizycznych, odnawiając materyalizm XVIII stulecia, kiedy Haeckel operował głównie na podstawie biologicznej, rozwijając myśli Darwina i stosując je do rodowodu królestwa zwierzęcego w ogóle, a człowieka w szczególności. Pierwszy mógł być przeto konsekwentniejszym — bo główne trudności przy rozciągnięciu poglądu przyrodniczego na całość zjawisk wszechświata zaczynają się dopiero w zakresie życia, nieprzezwyciężoną zaś zaporę logiczną przejścia od zjawisk materyalnych do świadomości przecinał łatwym frazesem, że myśl jest funkcyą mózgu. Drugi, przebywając ciągle w zakresie zjawisk biologicznych, musiał nieustannie mieć na oku tę dwoistość danych empirycznych, a chcąc ominąć sprzeczność, musiał ją ukryć w głębi nieskończenie małych pierwiastków, z których buduje wszechświat, nadając życie i świadomość atomom.

Któż z obecnie czynnego pokolenia ludzi wykształconych nie czytał kiedyś, w młodym wieku, może nawet cichaczem od starszych, *Siły i materyi* Büchnera [1]), tej «strasznej» książki, burzącej kojący dogmatyzm wierzeń tradycyjnych, wpojonych w domu i w szkole? Któż nie odczuwał bólu a może i oburzenia, gdy mała ta książeczka .odzierała w oczach jego świat z szat poezyi i piękna, gdy namiot nieba zostający pod troskliwą opieką ojcowską zastępowała zimnym mechanizmem, pozbawionych wszelkich jakości atomów i sił? Któż znowu nie odczuwał upokorzenia i fałszywego wstydu względem przodków swoich, czytając rodowód człowieka w *Dziejach utworzenia przyrody* Haeckla? [2])

A jednak to wytrącenie z drzemki dogmatycznej, to biczowanie nadętej zarozumiałości «króla przyrody» miało swoje dobre skutki: rozsiewając wia-

[1]) Przekł. polski wyd. we Lwowie około 1866 r.
[2]) Przekł. polski, Lwów, 1869.

domości na ślepo przyjęte, kazało myśli szukać, badać, budować poglądy własne i samodzielne. I dziś pragnęlibyśmy, ażeby młodzi czytelnicy nie pomijali tych pisarzy; nie po to, by na nich się zatrzymać, lecz aby pójść dalej. Bo żeby iść naprzód, trzeba przedewszystkiem zamieść przed sobą drogę. Z drugiej strony zaś jeśli pogląd przyrodniczy nie wystarcza dla objęcia całokształtu naszego poznania; jeśli jego «prawdziwość» jest bardzo niedoskonała, to przedstawia on wszakże tak doskonałą zamkniętą w sobie całość, tak harmonijne spojenie ogromnego obszaru poznania, że dokładna jego znajomość staje się dzić niezbędną dla każdego pracującego nad wyrobieniem własnego poglądu na świat. A niezbędną jest z dwojakiego stanowiska: 1) dla treści swojej, która wchodzi jako czynnik w wyrobieniu tego poglądu[1]); 2) dla formy t. j. strony metodycznej, która jest najdoskonalszym wzorem zastosowania metody naukowej analitycznie-syntetycznej, a więc stanowi doskonałą szkołę logiczną dla każdego przystępującego do szerszych zagadnień filozoficznych.

Jeśli zestawimy z sobą dwa dzieła wymienione w nagłówku, dostrzeżemy łatwo przewagę zarówno pod względem szerokości poglądów jak i zwięzłości a jasności wykładu po stronie książki Büchnera, co zresztą wypływa po części z jej charakteru: jest ona «rzutem oka», gdy książka Haeckla jest rodzajem podręcznika, dającego w skondensowanej formie rozwiązanie całego szeregu zagadnień wszechświatowych. Bliżej też życia społecznego i jego zagadnień bieżących stoi pierwszy. *Wiedza, Filozofia, Materyalizm, Religia, Spirytyzm, Polityka, Anarchia, Kwestya społeczna, Feminizm, Kwestya żydowska, Literatura i sztuka* — takie są przedmioty, które omawia Büchner w dwunastu rozdziałach swojej książki. Widzimy, że nie pominął żadnej z kwestyj głośniejszych, zajmujących ogół. Gdy wszakże spojrzymy na odpowiedzi, które daje na nie, skłonni jesteśmy zredukować nazwę «myśliciela» zawartą w tytule, do skromniejszej — człowieka myślącego. W zapatrywaniach swoich bowiem autor nie jest bynajmniej myślicielem torującym drogi nowe, lecz człowiekiem, który ma swoje własne zdanie w każdej z wymienionych kwestyj i zdanie to wypowiada. Opinie jego wznoszą się wprawdzie w ogóle mówiąc, ponad poziom przeciętnej myśli filistra, niekiedy w znacznym stopniu ją wyprzedzając, nie są wszakże wynikiem głębszych studyów, dających niezachwiane podstawy, szeroki polot i ścisłość przekonaniom myśliciela, lecz raczej wytworem jasnego i zdrowego rozumu, który otrząsnąwszy się z przesądów w jednej dziedzinie, nabył przyzwyczajenia śmiało i samodzielnie rozstrzygać inne zagadnienia. Tak np. przedstawiwszy w jaskrawych barwach złe, wynikające z kontrastu zbytku i nędzy w społeczeństwie, a poddawszy krytyce rozmaite proponowane środki, przychodzi do takiego wniosku:

«Nie, prawdziwy socyalizm nie sprzyja żadnej klasie, ani ugrupowaniu zawodowemu. Chce wyzwolić całe społeczeństwo, nie wykluczając i pracowników intellektualnych, których położenie bywa często gorsze niż rzemieślników. W tym celu powinien zrównać majątki i środki, przy pomocy których każdy podtrzymuje walkę o byt... Nie potrzeba, jak chcą kollektywiści dążyć do przerobienia jednostki na maszynę, lecz pozostawić jej zupełną niepodległość» (str. 119). — Gorąco powstaje autor na niesprawiedliwość względem ko-

---

[1]) Odsyłamy do artykułu p. t.: *Wiedza przyrodnicza jako czynnik poglądu na świat* w rocznikach 1900 i 1901.

biet społeczeństwa obecnego, przyznaje im wyższe raczej niż równe z mężczyznami zdolności do studyów. «W sumie emancypacya zupełna kobiety jest tylko kwestyą czasu», tak konkluduje autor rozdział o feminizmie.

Antysemityzm niweczy Büchner bardzo prostym, ale nie dającym się zbić rozumowaniem: na 50,000.000 ludności w Niemczech jest 500.000 żydów, t. j. 1%. Gdyby było prawdą, iżby rasa ta wywierała tak olbrzymi i zgubny wpływ, jaki im przypisują, należałoby przypuścić, albo niesłychaną potęgę w niej samej, albo niesłychaną słabość i ułomność w społeczeństwach tak łatwo ulegającym jej wpływom.

Przechodzimy teraz do dzieła Haeckla, które ma charakter niejako ewangelii «filozofii monistycznej», przeznaczone, jak pisze autor w przedmowie, «dla tych wszystkich ludzi wykształconych, którzy myślą i szukają prawdy». W szeregu rozdziałów przebiega on budowę ciała i jego czynności, jego rozwój embryologiczny i filogenetyczny, świadomość i nieśmiertelność, zasadnicze prawa dotyczące materyi, rozwój wszechświata, jedność przyrody, stosunek jej do Boga, wiedzę i wiarę, religią i moralność monitystyczną, wreszcie rozwiązanie zagadek wszechświatowych. Każdy rozdział zaopatrzony jest wskazówkami dla czytelnictwa uzupełniającego; przeglądając uważnie tę literaturę, znaleźliśmy w każdym prawie z rozdziałów po parę dzieł, które istnieją w przekładach polskich. Dowodzi to, że literatura nasza naukowa w okresie pozytywizmu nie zaniedbywała obowiązków swoich.

Poglądy monistyczne dają się ująć w sześciu zasadach: 1) *Monizm* (jedność świata duchowego i cielesnego), 2) *Panteizm* (jedność Boga i świata), 3) *Genetyzm* (rozwój nieustanny wszechświata), 4) *Naturalizm* (wszystko redukuje się do przyczyn naturalnych czyli praw zachowania materyi i energii), 5) *Mechanizm* (życie jest objawem mechanicznym), 6) *Tanatyzm* (śmiertelność).

KORESPONDENCYA Z CZYTELNIKAMI.

Pytanie. Jakie są warunki przyjęcia na wydział filozoficzny Uniwersytetu lwowskiego dla kończących szkołę realną w Królestwie Polskiem?

Odpowiedź. Kwestyę tę rozstrzyga dziekan. Wogóle przyjmują na uniwersytetach austryackich z patentem szkoły realnej (krajowej lub zagranicznej), jako «studentów nadzwyczajnych» pod warunkiem złożenia w ciągu pobytu egzaminów dopełniających do matury. Po ich złożeniu dopiero można się immatrykulować, przyczem poprzednio wysłuchane semestra zostają zaliczone. Czasami może fakultet zwolnić od tego warunku. Wiele zależy od tego, jaką obiera się specyalność: dla filologii oczywiście języki grecki i łaciński są niezbędne. Przygotowanie do matury nie jest zbyt trudne. Wiele pań składa ją po upływie roku lub dwóch.

Pytanie. Znajomość jakich dziedzin wiedzy jest nieodzowną dla człowieka inteligentnego? Jakie należy studyować nauki prócz własnej specyalności?

Odpowiedź. Pytanie to wymagałoby bardzo obszernej odpowiedzi; odsyłając po szczegóły do dwóch książek wydawcy tego pisma: *Co i jak czytać?* zwłaszcza *Wstęp* i *Klasyfikacya umiejętności, jako wstęp do wykształcenia ogólnego* (drugie wydanie pod prasą), zaznaczymy tylko w krótkości, że nie

tyle ilość lub wybór nauk stanowi o tem, czy możemy komuś zasadnie nadać miano człowieka inteligentnego, ile raczej spójność wiadomości nabytych w harmonijną całość i ta myśl, z którą się one nabywają. Cechą inteligentnego człowieka jest przedewszystkiem (ze strony teoretycznej) to, że wiedza nabyta tworzy dlań materyał do syntezy, którą jest pewien pogląd na świat; tę syntezę, musi *sam* wykonać; jeśli nie czyni zadość pierwszemu warunkowi (syntezie), to suma nabytych wiadomości czyni zeń tylko «worek mądrości», ale nie człowieka mądrego. Jeśli nie spełnia drugiego z wymienionych warunków, to jest nie sam wytwarza swój pogląd na świat, lecz przyjmuje gotowy, nie jest również mędrcem, lecz «papugą mądrości». Drugą cechą również znamienną jest ta, że człowiek inteligentny szuka wiedzy nie po to, by zajmowała jakąś odosobnioną kryjówkę w jego umyśle, obok której mogą się mieścić najdziksze przesądy, najwierutniejsze zabobony, najpospolitsza filisterya, kierująca jego krokami życiowemi. Pogląd na świat teoretyczny wiąże się u niego ściśle z wymaganiami praktycznemi, z zasadami i przepisami, które obiera jako kierowniki postępowania swego w życiu. Innemi słowy wiedza staje się dla niego prawodawczynią życia. — Co zaś do tego, jakie gałęzie wiedzy przyczynić się mogą do wytworzenia poglądów ogólnych, a jakie dać wskazówki dla zasad postępowania — na to znowuż odpowie *Co i jak czytać?* przeważnie zaś rozdz. III, IV, VII, IX w części I-szej i cała część II-ga. Odsyłamy także do szkicu *Inteligencya i wykształcenie* w *Hasłąch umysłowości współczesnej* tegoż autora.

Pytanie. Czy przy studyowaniu historyi literatury powszechnej lub polskiej wystarczy czytanie podręczników i wypisów (w rodzaju *Obrazu literatury powszechnej* lub *Złotej przędzy* i t. p.)?

Odpowiedź. Książki tu wymienione są wypisami, bardzo pożytecznemi, gdyż dają możność poznać w urywkach autorów, o których się czyta, lecz nie mogą oczywiście zastąpić biblioteczki arcydzieł. Zwłaszcza dotyczy to *Obrazu literatury*, który, skrępowany będąc w wyborze przeważnie istniejącemi przekładami, nie zawsze daje najbardziej charakterystyczne utwory pewnego autora, lub najlepsze z nich ustępy. Przytem indywidualne zainteresowanie czytelnika każe mu nieraz zwrócić się do utworu, nawet drugorzędne stanowisko zajmującego, lecz dla jakichbądź względów budzącego jego ciekawość. Wreszcie istnieje szereg arcydzieł wszechświatowych, których przeczytanie w całości jest niejako obowiązkowe dla każdego wykształconego człowieka. Wybór ten mamy zamiar podać niebawem.

KRONIKA.

— Otrzymujemy broszurę, zawierającą oświadczenie trzech głównie czynnych członków rady zarządzającej **Instytutu nauk społecznych**, założonego przez p. Solvay'a w Brukselli: pp. Hektora Denis'a, Wilhelma de Greef'a i Emila Vandervelde'go o ich ustąpieniu z tej instytucyi obok korespondencyi ich z p. Solvay'em; wyjaśniającej powody tego wystąpienia. Wymienieni uczeni ogłosili w rocznikach tego instytutu od r. 1894 do 1900 sze-

reg prac z zakresu ekonomicznie-społecznego, których lista jest załączona.

— Cztery **Kalendarze**, wydane staraniem p. Wojnara, a mianowicie: *Polak*, *Gospodarz*, *Kalendarz Maryański* i *Kalendarz powszechny,* odznaczają się bardzo starannym wyborem przedmiotów w częściach literackich, pracowicie ułożonemi i stosownie dobranemi częściami informacyjnemi, obfitością i dobrym gatunkiem ilustracyj a bardzo przystępną ceną. Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak wiele jest osób, dla których kalendarz stanowi jedyną książkę czytaną w ciągu roku, to przekonamy się, że rozumny, uczciwy i odpowiadający wymaganiom estetycznym, wybór treści w kalendarzu stanowi nie małej wagi czynnik kulturalny. Dlatego też praca ta, mozolna a niewdzięczna ze wszechmiar, zasługuje na uznanie, a jej owoce na polecenie, zwłaszcza wobec rozwielmożniającej się u nas tandety, szablonowo w Niemczech fabrykowanej.

— Drugi rocznik rozpoczyna wysoce sympatyczne wydawnictwo: **„Głos ziemi Sandomierskiej“**, rzadki objaw samodzielnego wzlotu myśli dziennikarskiej w cichym zakątku prowincyonalnym. Serdeczne życzenia przesyłamy zacnemu koledze.

Nekrologia.

Wilhelm Bogusławski, badacz dziejów słowiańszczyzny, zmarł na Wołyniu, mając lat 76.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— *Realiście.* Na pytania Pańskie chętniej odpowiemy listownie. Prosimy więc o dokładny adres (kartą pocztową). Tu zaznaczymy tylko, że wybór i rozkład przedmiotów jest bardzo trafny. Wiele wszakże zależy od wyboru podręczników.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

V. Maes: *Projection Sphérique comparée aux autres projections.* Publié par l'Institut Géographique de l'Université Nouvelle. Bruxelles, 1901, str. 13 i 3 tablice.

Jules Destrée: *La fin du parlamentarisme.* Discours prononcé à la séance solennelle de rentrée de l'Université Nouvelle de Bruxelles 14 oct. 1901. Bruxelles, 1901. — Cena 50 ctm.

Fifth and Sixth list of Books offered for sale by W. M. Voynich (z reprodukcyami kart tytułowych i faksymilami).

M. Wierzbiński: *Akwarele angielskie*. Lwów, Tow. Wydaw., 1902, str. 154.

M. Zaruski: *Sonety morskie i sonety północne.* Kraków, 1902.

P. Chmielowski: *Najnowsze prądy w poezyi naszej.* «Wiedza i Życie». Lwów, 1901.

Ad. Szelągowski: *Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce.* Lwów, Tow. wyd., 1902, str. 320.

E. Sonnenberg: *Reklama lekarska w obliczu etyki stanowej.* Warszawa. (Odbitka z «Krytyki lekarsk.»), 1901. — *Granice władzy zawodowej lekarza*

ze stanowiska prawa i etyki. (Odbitka z «Czasopisma lekarsk.»). Łódź, 1901.
— *Tajemnica lekarska, jako nakaz stanowy, przepis prawny i postępowanie etyczne* (Odb. z «Czasop. lekarsk.»), Łódź, 1899.
E. Biernacki: *Zasady poznania lekarskiego.* Warszawa. Nakł. grona lekarzy. — Cena rs. 1·80.
F. Popławska: *Dwie mogiły.* Powieść dla starszej młodzieży. Lwów, Tow. Wydaw., 1902.
Polak - kalendarz historyczno - powieściowy na rok 1902.
Kalendarz Maryański na rok 1902. Wyd. K. Wojnara. — Cena groszy 80.
Gospodarz - kalendarz na rok 1902. Wyd. K. Wojnara.
Ernst Haeckel: *Les Enigmes de l'Univers.* Traduit par. Camille Bos. Paris, Schleicher frères, 1902. — Cena fr. 10.
S. i B. Webb: *Dzieje organizacyi zawodowej w Anglii,* przekł. J. S. i J. K. 2 t. Kraków, Br. Natanson, 1901.

Redaktor odpowiedzialny: **Jan Dutkiewicz.** Wydawca: **Wł. M. Kozłowski.**